ISSN 0137-8503

RYMUKA 4

1986

WRONY

LECH BORSKI

Ilustr. JADWIGA ABRAMOWICZ

Przyniosła mi go pod koniec lutego, wieczorem. Nie widziałem jej przez cały tydzień. To znaczy, widywałem ją na szkolnym korytarzu, zawsze z Masterdziejem, odwracałem się wtedy plecami.

Przyszła wieczorem. Zaterkotał dzwonek i wiedziałem, kto dzwoni, zanim mama powiedziała, że mam gościa. Stała w przedpokoju, w tym swoim płaszczu oblamowanym białym futerkiem, z kapturem odrzuconym na plecy, i szybko sięgnęła do kieszeni, i wyciągnęła otwartą dłoń, na której leżał mój kalkulator, i podawała mi go, a ja się cofałem, cofałem, aż do drzwi mojego pokoju...

– Wejdź – powiedziałem.

Weszła, ciągle w płaszczu, z wyciągniętą ręką:

– Weź go.

– Oddał ci?

– Tak. Weź go.

Nie zrobiłem żadnego gestu. Przypatrywałem się jej. Była taka sama, jak przed dwoma tygodniami, kiedy odezwała się do mnie po raz pierwszy; w tym samym płaszczu, tylko wtedy kaptur zakrywał jej włosy – jedynie jasne kosmyki wymykały się i układały na ramionach.

– Rozbierz się – powiedziałem. – I usiądź.

Ostrożnie położyła kalkulator na skraju stołu i rozpięła płaszcz. Przysiadła na tapczanie.

– Teraz jest w porządku – powiedziała. – Masz go z powrotem.

– Co jest w porządku?

Pochyliła głowę i zaczęła płakać. Nie podszedłem do niej, nie wykonałem żadnego ruchu.

*

Dwa tygodnie wcześniej, w lutym, w środku lutego wrony spadały z nieba. Z nieba albo z gałęzi drzew. Nie za często, ale codziennie ktoś znajdował nieruchomego, bezbronnego ptaka, przycupniętego na śniegu. Bo one były żywe, przeważnie, kilkoro z nas przyniosło wrony do szkoły. Kazano nam je zabrać. Zanieśliśmy ptaki do lasu, sadzaliśmy na gałęziach, waliły się w śnieg i leżały. Przynosiliśmy im jedzenie, rozsypywaliśmy okruchy i kawałki słoniny wokół, wrony nie ruszały się, póki nie odeszliśmy. Następnego dnia zwykle już ich nie było. Za to znajdowało się nowe, leżące na śniegu, na drodze, w ogrodach.

Było to dziwne zjawisko i przygnębiające. Niektórzy mówili, że spadanie ptaków z nieba to zły znak. Większość przypisywała ptasie nieszczęście mrozom, które po odwilży nagle wróciły i trzymały ostro, jakby się miały nigdy nie skończyć.

W tym czasie mało myślałem o wronach. Obchodziłem urodziny i dostałem kalkulator, który miał ze trzydzieści przycisków. Można było na nim obliczyć wszystko, choć do minikomputera było mu jeszcze daleko. Ale marzyłem o kalkulatorze, właśnie takim, o minikomputerze nie śmiałem nawet myśleć.

W kilka dni później poznałem Danutę. Chodziła do równoległej klasy w tej samej szkole, ale trzymała się na uboczu. Nie wiedziałem dlaczego. Od dawna myślałem, że wszyscy powinni marzyć o przyjaźni z taką dziewczyną. Z niezrozumiałych powodów była jednak samotna. Rzadko się wie, co naprawdę dzieje się w sąsiedniej klasie.

*

Poznałem ją przez wronę, przypadkiem, w powrotnej drodze ze szkoły. Wrona splanowała dokładnie przede mną, na środek drogi, przez ułamek sekundy widziałem jej ślizg w dół, rozpostarte skrzydła, potem już leżała, jakby leżała od dawna. Spoglądała na mnie, ale nie próbowała uciekać. Pochyliłem się. Wtedy przymknęła oczy.

– Nic się jej nie stało? – usłyszałem.

Danuta wyszła z bocznej uliczki, zawsze stamtąd wychodziła i zawsze starałem się zdążyć, żeby ją wyprzedzić, i zawsze czekałem, i zawsze potem szedłem za nią, z daleka.

– Żyje – powiedziałem. Lecz nie ośmieliłem się ani wyprostować, ani spojrzeć na Danutę.

– Przenieśmy ją na lepsze miejsce. Może poleci.

Pochyliła się także, ale nie uczyniła żadnego ruchu, żeby dotknąć ptaka. Miała na sobie jak zwykle szary płaszcz lamowany białym futerkiem i kaptur na głowie, spod którego wymykały się włosy.

Podniosłem wronę i ułożyłem pod płotem. Wrona była ciepła i jej serce biło bardzo szybko. Wyciągnąłem z torby drugie śniadanie, rozerwałem kanapkę i rozsypałem blisko jej dzioba.

– Wyżyje? – spytała Danuta, nie wiadomo dlaczego szeptem, ale ten szept mnie ucieszył, był jak porozumienie.

– Nie wiem.

Ruszyłem obok niej. Włożyłem ręce do kieszeni, dotknąłem kalkulatora.

– Nie trzymaj rąk w kieszeni – powiedziała. – To niezbyt eleganckie.

Wyciągnąłem ręce.

– Nie mam rękawiczek – usprawiedliwiłem się.

– Weź jutro, sprawdzę.

– To znaczy, że... że będziemy chodzić do szkoły? Razem?

– Oczywiście – powiedziała zdecydowanie... i obojętnie. Poczułem się jednocześnie szczęśliwy i zasmucony.

W szkole często podchodziłem do niej na przerwach.

– Uważaj, to jest żyła – poinformował mnie Masterdziej.

– Co to znaczy, żyła?

– Osa, skarżypyta, nie przepuści ci niczego.

Ale nie interesowała go ani Danuta, ani to, że ja krążę koło niej podczas każdej przerwy. Mówił do mnie, lecz zerkał na kalkulator, w którego przyciski machinalnie postukiwałem.

– Sprzedaj mi go – zaproponował.

– Nie.

– To się zamień na coś. Chcesz aparat fotograficzny?

– Nie.

Wracałem ze szkoły z Danutą, wepchnąłem ręce do kieszeni, skarciła mnie spojrzeniem, ale nie powiedziała nic, pamiętała o braku rękawiczek. Ze śmiechem wyciągnąłem dłonie i pokazałem, co w nich mam. Monety w prawej, kalkulator w lewej.

– Lubię czegoś dotykać. Lubię kręcić monetami. Taki nawyk. Nigdy nie noszę rękawiczek.

Wyciągnęła palce i stuknęła w kilka przycisków kalkulatora. Palce miała białe, o bladych paznokciach. Stuknęła jeszcze kilka razy i powiedziała:

– Ładne. Schowaj, to cenna rzecz.

Tych przycisków tego dnia nie dotykałem. Wydawało mi się, że pozostały na nich ślady jej palców.

I oto po dwóch tygodniach znajomości przyniosła mi mój kalkulator. Płakała, siedząc na moim tapczanie, a ja nie wykonałem ani jednego ruchu, stałem jak kołek.

– Zdejmij płaszcz – powiedziałem wreszcie. – Tu jest bardzo ciepło.

Usłuchała, nie podnosząc się. Płaszcz opadł za nią nieporządnie. Nadal na nim siedziała.

– Odzyskałam go dla ciebie – wydusiła wreszcie. – O co ci jeszcze chodzi? Lubisz go przecież.

– Może nie aż tak bardzo. Może już go nie potrzebuję. Może wcale nie był ważny.

– Przecież on cię ordynarnie szantażował – wybuchnęła Danuta.

– Przyjąłem jego warunki.

– Nie musiałeś. Ja i tak wolałam ciebie – powiedziała cichutko.

*

Masterdziej pojawił się przy nas trzeciego dnia.

Poszliśmy wtedy na spacer, Danuta i ja, daleko, wzdłuż rzeki, aż do łąk pod lasem. Nie pamiętam, co mówiła. Mówiła dużo. O sobie. Słuchałem jej głosu i myślałem, że to, co mówi, jest ważne, ale powtórzy mi te same rzeczy jeszcze niejeden raz. Trzymałem ręce w kieszeniach, dotykałem kalkulatora, kręciłem monetami, i ona także wetknęła ręce w kieszenie, śmiała się i powiedziała:

– Wiesz, to nawet wygodne.

Od czasu do czasu nasze łokcie potrącały się. Myślałem o tym, że może potrzymam jej dłoń w swojej, później, przez chwilę.

Dotarliśmy do łąk i tam leżały wrony, trzy. Czarne kleksy na śniegu. Danuta podbiegła do najbliższej z nich, uklękła. Zrobiłem to samo. Klęczeliśmy, a wrona leżała między nami. Żyła, jej serce biło. Nie miałem przy sobie niczego, tylko monety i kalkulator, niczego do jedzenia.

– Mówią, że to sprawa środowiska – szepnęła Danuta. – Kiedyś wrony żyły także w miastach, teraz nie wytrzymują, wyniosły się na obrzeża i odlecą jeszcze dalej. Wszystkie.

– Nie martw się, wron nie zabraknie.

– Nie zabraknie – powtórzyła. – Po prostu się wynoszą. A niektóre giną. Jak ta tutaj. Może chciała wrócić tam, gdzie żyła kiedyś. One przecież długo żyją. Ta jest inna niż reszta. Patrz, ile ich spokojnie krąży po niebie. A ta spadła. I nie wygląda na słabą.

Ciągle klęczeliśmy. Patrzyłem na jej twarz. Półprzymknęła oczy, chyba patrzyła na wronę.

– Może one są za jakąś wronią sprawiedliwością, te, które spadają – odezwała się Danuta. – Może chciały przywrócić dawny porządek?

Nie odpowiedziałem. Na rzęsach Danuty drgały śnieżynki, i topniały. Nie zauważyłem, kiedy zaczęło prószyć.

– A poza gromadą wrona nie umie żyć – mówiła dalej. – I spada. Musi mieć ciepło i musi być lubiana.

Nie chciałem myśleć o wronach. Poruszyłem się i popatrzyłem na łąkę. Te dwie inne leżały jeszcze. Nad nami przeleciało całe kraczące stado, głośne i zadowolone z życia.

– Jak się wlazło między wrony... – zacząłem i musiałem gwałtownie urwać.

Danuta pobladła, zerwała się i zaczęła biec w kierunku ścieżki.

Dogoniłem ją na skraju łąki. Zatrzymałem niezręcznie i z rozpędu objąłem ją, od tyłu, i przez chwilę przytrzymałem przy sobie, a potem rozwarłem ręce, a ona nie uciekała już. Zwróciła się ku mnie i była tak blisko, że nasze wargi zetknęły się na sekundę, nie wiadomo jakim cudem. Odskoczyliśmy od siebie. Oddychała szybko i szybko się uspokoiła.

– Dlaczego to zrobiłeś?

Nie wiedziałem, czy to ja zrobiłem. Czy ja sam. Ona też nie wiedziała.

– Dlaczego to zrobiliśmy?

Podszedłem bliżej i koniuszkami palców pogłaskałem jej policzek. Zostały brudne smugi, miałem je na palcach, ślad po nieustannie obracanych monetach. Ślad niepokoju.

– Zabrudziłem cię.

Wyciągnęła lusterko i przejrzała się.

– Niech to zostanie. Chcę pamiętać i w domu.

Zamrugałem szybko. Danuta odwróciła się i ruszyła ścieżką.

– Nigdy nie używaj tego przysłowia o wronach. Jest wstrętne. Słyszę je często.

– Dlaczego? – spytałem i przypomniałem sobie, co mówił o niej Masterdziej. – Dokuczają ci? Dlaczego cię nie lubią?

Widziałem ruch jej pleców, wzruszyła ramionami.

– Lubię porządek i sprawiedliwość.

– Wszyscy lubią.

Milczała. Przeszliśmy ze sto metrów w krakaniu wron, kiedy odezwała się znów:

– Bo ja je wymuszam.

– Co wymuszasz? – zdziwiłem się. Straciłem wątek; obserwowałem jej nogi w wysokich botkach, i jej precyzyjne. lekkie kroki, i proste plecy, i wysoko uniesioną głowę.

– Porządek.

– I sprawiedliwość?

– Tak.

Dogoniłem ją i wziąłem za rękę, a później wsunąłem dłoń do kieszeni jej płaszcza i spletliśmy palce. To było miłe.

Wtedy spotkał nas Masterdziej i nie odstępował. Gadał jak najęty, sypał dowcipami i popisywał się wiedzą. Pierwszy raz usłyszałem jej głośny śmiech. Był taki, jak trzeba.

Masterdziej czekał na nas pod szkołą następnego dnia, i następnego. Danuta godziła się, żeby z nami chodził. Nie dawał się prosić. Raz kupił jej kwiaty. Przyjęła i powiedziała, że go lubi. Któregoś dnia zobaczyłem, jak razem wchodzą do kina.

Nie spytałem jej o to. Poszedłem do Masterdzieja. Rozmowa była krótka. Powiedziałem, żeby się odczepił. Spytał, dlaczego.

– To moja dziewczyna.

– Może i mnie się podoba – oblizał wargi. – Każdy ma prawo próbować.

– Czego chcesz? – spytałem.

Zmrużył oczy i uśmiechnął się:

– Podoba mi się twój kalkulator.

Dałem mu go, wziął bez słowa, wyszedłem.

Odtąd nosiłem rękawiczki i nie chowałem rąk do kieszeni. Danuta spytała, dlaczego tak sporządniałem.

– Ja też nie chcę opuszczać miasta – powiedziałem.

Nie zrozumiała.

– Jak te wrony – wyjaśniłem. – Nie chcę głupio leżeć na śniegu. Jestem za porządkiem. Chcę mieć, co mam.

– Gdzie twój kalkulator?

– Niepotrzebny mi więcej. Nie muszę niczego wyliczać.

Zmieniła temat i spytała o Masterdzieja. Nie chciałem o nim mówić.

Danuta podniosła się, wygładziła zmięty płaszcz i ostrożnie ułożyła w nogach tapczanu. Podeszła do stołu, stuknęła w guziki kalkulatora.

– Dlaczego go nie chcesz?

– Co robiłaś przez c a ł y tydzień?

Stała przede mną i uparcie patrzyła mi w oczy. Miała miodowe tęczówki z ciemniejszymi cętkami. Zwinięte w pięści ręce podniosła na wysokość piersi, jakby mnie chciała uderzyć.

– Zdobywałam go dla ciebie.

– Co mu dałaś?

Nie odpowiedziała. Patrzyła mi w oczy.

– Czego on chciał? – syknąłem, a kiedy milczała, zacząłem mówić, mówiłem szybko i może nie rozumiała mnie: – Przecież on tylko udawał. Udawał, że się z tobą zaprzyjaźnia, bo chciał mnie zmusić. Chciał mieć kalkulator. I dałem mu go, żeby się odczepił. Ułożył sobie plan i wykonywał go. Zawsze tak robi. To był tylko zimny, drański plan.

Może krzyczałem. W przedpokoju skrzypiała podłoga. Mama szykowała się do interwencji. Zniżyłem głos i chwyciłem Danutę za dłonie. Poczułem pod palcami kruche kości.

– Bałem się o ciebie. Gdybym wiedział, że on cię lubi, nie zrobiłbym niczego. Ale on cię nie lubi. Mówił mi o tobie. Nie lubi cię. Udawał. Chciał mnie zaniepokoić i udało mu się. Bo ty mogłaś mu uwierzyć. I mogłaś go polubić. Ty. Bardziej niż mnie. Zagrał o kalkulator i wygrał. Gdyby cię lubił, czekałbym na to, co postanowisz. Nie lubi cię.

– To dlaczego mi go oddał? – spytała cichutko.

Odskoczyłem. Jej ręce opadły i palce rozwarły się.

– Coś ty zrobiła?

Uśmiechnęła się, leciutko i skromnie.

– Zmusiłam go, żeby chciał ze mną chodzić. I zaczął chcieć. Wtedy powiedziałam, że wolę ciebie. Spytał, co ma zrobić. Powiedziałam, że ma ci oddać ten kalkulator. Dał mi go, sam nie mógł z tobą rozmawiać. Teraz jest w porządku. Masterdziej został ukarany, a ty masz kalkulator z powrotem.

– Chciałem mieć ciebie.

– Masz mnie – spokojnie skinęła głową. – On oszukiwał i ja oszukałam. A ty masz wszystko. Jak na początku.

– I jest porządek?

Przytaknęła i uśmiechnęła się do mnie.

– Wynoś się! – krzyknąłem.

Wrzuciłem kalkulator do szuflady.

I mówiłem długo jeszcze do pustego pokoju.

PLEBISCYT „ORLE PIÓRO '86"

JAK WAM SIĘ PODOBAŁO

opowiadanie Lecha Borskiego „Wrony"?

ODPOWIEDZCIE NA TO PYTANIE NA KARTCE POCZTOWEJ:

- **U GÓRY napiszcie imię i nazwisko autora oraz tytuł opowiadania; obok narysujcie CZERWONE SERDUSZKO, a w jego środku wpiszcie jedną z cyfr od 1 do 5, według następującej skali ocen:**
  - **1 = nieciekawe, nieudane**
  - **2 = przeciętne, nic szczególnego**
  - **3 = niezłe, coś w nim jest...**
  - **4 = ciekawe, dobre**
  - **5 = b. dobre, znakomite, wspaniałe, fantastyczne!**
- **U DOŁU kartki pocztowej podajcie swoje imię, nazwisko, wiek i dokładny adres. Kto chciałby szerzej uzasadnić swoją ocenę, niech zamiast kartki przyśle list (z serduszkiem powtórzonym jako znak rozpoznawczy na kopercie).**
- **Adresujcie: „Płomyk", 00-950 Warszawa, skr. poczt. 380, ul. Spasowskiego 4.**

- PLEBISCYTOWE OCENY wystawiajcie i wysyłajcie „na gorąco", możliwie zaraz po przeczytaniu opowiadania.
- SUMA WSZYSTKICH OCEN podzielona przez liczbę czytelników oceniających dane opowiadanie będzie stanowić Waszą wspólną ocenę.
- LAUR „ORLEGO PIÓRA '86" przyznamy na zakończenie akcji temu autorowi, którego opowiadanie osiągnie najwyższą ocenę spośród wszystkich poddanych plebiscytowi.
- TAKI MINI-PLEBISCYT będzie towarzyszył każdemu kolejnemu opowiadaniu uczestniczącemu w Plebiscycie „Orle Pióro" (następne opowiadanie znajdziecie w nrze 6).
- POMIĘDZY UCZESTNIKÓW KAŻDEGO MINI-PLEBISCYTU będziemy rozlosowywać NAGRODY KSIĄŻKOWE, zaś autorzy najciekawszych (niekoniecznie pochwalnych, lecz może też krytycznych) uwag i komentarzy – OTRZYMAJĄ NAGRODY SPECJALNE.

OPOWIEŚCI NASTOLATKÓW

CO O TYM MYŚLISZ, SHAKY?

Koniec. Nareszcie uporałam się z lekcjami.

Spoglądam na zdjęcie mojego idola, które stoi na biurku. Uwielbiam go. Shaky jest wspaniały. To ktoś, komu mogę mówić o wszystkim, jak prawdziwemu przyjacielowi. Z kim się nigdy nie pokłócę tak jak z Marzeną...

*

– Beata, zaczekaj. Przecież idziemy w jednym kierunku.

– Być może – odpowiedziałam chłodno.

– Znowu zaczynasz. Co się z tobą dzieje? Ty w ogóle mnie nie zauważasz. Chyba masz mnie dość...

Spojrzałam na nią z uwagą i powiedziałam:

– Wykorzystujesz naszą przyjaźń. Scenariusz na ruski musiałam napisać ja, bo ty nie masz czasu; zaniosłam ci zeszyty i jeszcze sama po nie musiałam potem przyjść. Dzwonić ciągle ja muszę do ciebie, bo tobie się nie chce. Wolisz rozmawiać z Rafałem, bo on jest bardziej ode mnie interesujący. Ja tylko jestem przyjaciółką do podpowiadania na matmie i odwalania roboty za ciebie.

– Jesteś głupia – skwitowała moją wypowiedź Marzena.

Odwróciłam się i zbiegłam po schodach, nie patrząc na nią. W szatni zatrzymał mnie Rafał.

– Beata, napiszesz mi recenzję z „Niemców"? Dam ci za to dobry towar – dodał obiecująco i uśmiechnął się przymilnie.

– Odwal się, materialisto. Powiedz to Marzenie. Ona ci napisze z odniesieniem do domu.

Wybiegłam ze szkoły. W domu nikogo nie było. Zjadłam obiad i wyszłam na religię. Kiedy skręciłam w Struga, natknęłam się na Marzenę. Ta, jakby nic się w ogóle nie stało, zaczepiła mnie:

– Cześć! mam dla ciebie Stevensa. Ale wiesz co? Rafał poprosił mnie, żebym mu napisała wypracowanie – dodała.

– Wiem.

– Skąd?

– Mam zdolności telepatyczne – odpowiedziałam z ironią.

– Powiedziałam mu, że ty byś to sto razy lepiej zrobiła.

– Jak by mi się chciało...

– Co było wczoraj w przebojach „Dwójki"? – Marzena szybko zmieniła temat.

– Paul Young i O.M.D.

– Paul był? Ja się zabiję... Dlaczego ja tego nie oglądałam?

– Bo pewnie byłaś z Rafałem w kinie.

Nic na to nie odpowiedziała. Kiedy miałyśmy się już żegnać, zapytała:

– Beata, to jak? Napiszesz o tych „Niemcach"?

– Nie wiem. Jak zdążę. Może.

Następnego dnia moja przyjaciółka wręczyła Rafałowi recenzję.

– Co chcesz za to? – zapytał po prostu.

– To nie ja, to Beata...

Na następnej przerwie wręczyła mi plakat Stevensa i nic nie mówiąc odeszła.

Potem była matma. Klasówa. Mnóstwo zadań. Zaczęłam szybko pisać, aby tylko zdążyć. Z tyłu i z boku słyszę szepty Marzeny i Rafała. Proszą o pomoc. Ale udawałam, że nie wiem, o co im chodzi. Obydwoje byli wściekli.

– Czyś ty ogłuchła? – wysapała moja przyjaciółka, gdy matematyczka zebrała kartki.

– Jak chcę, to słyszę – odpowiedziałam ironicznie.

– Ale Stevensa to wzięłaś – wtrącił się Rafał.

– Nie od ciebie go dostałam. Ale jak wy tacy jesteście, że u was zawsze musi być coś za coś, to go sobie weźcie z powrotem. Nie mam ochoty handlować z wami. Zabierz sobie ten plakat.

Marzena nie chciała wziąć, ale Rafał skwapliwie wyciągnął rękę.

Dzwonek na koniec lekcji. Pakuję książki i wychodzę z klasy. Mam już dość tego wszystkiego. Idę powoli i właściwie nie myślę o niczym. Doszłam wreszcie do domu. Jeszcze nie zdążyłam wejść do swojego pokoju, gdy ktoś zapukał do drzwi. To była Marzena.

– Przyszłam cię przeprosić.

– Wejdź.

– Masz tego Shakina. Ja ci go nie chciałam zabrać. Nie gniewaj się już. Ten Rafał, wiesz jaki jest... Ale ja go bardzo lubię. – Spojrzała mi prosto w oczy.

Uśmiechnęłam się.

– Chodź do mojego pokoju – powiedziałam pojednawczo. – Mam dla ciebie Paula Younga.

– Beata, jesteś cudowna, wspaniała! – zawołała Marzena rzucając mi się na szyję...

*

No i co ty myślisz o tym wszystkim, Shaky?

BEATA z Radomia

Ilustr. Jadwiga Lidowska

SZKARŁATNA

PRZEDSTAWIAMY
pierwszą piątkę KANDYDATÓW
DO ODZNACZENIA „SZKARŁATNĄ RÓŻĄ"

Są to fragmenty listów wybranych z obfitej korespondencji nadesłanej w związku z ogłoszeniem w nrze 19 z ub. r. akcji „SZKARŁATNA RÓŻA"; dalsze listy-wnioski, w których najpełniej i w najbardziej przekonujący sposób przedstawiliście swoich kandydatów, będziemy drukować w kolejnych numerach.

Naszym nowym, najmłodszym Czytelnikom, którzy dopiero w tym roku zawarli znajomość z „Płomykiem", wyjaśniamy, że „SZKARŁATNA RÓŻA" rozkwita już po raz siedemnasty. Po raz pierwszy pojawiła się ona w „Płomyku" jesienią 1969 roku i odtąd co roku, w związku z Dniem Nauczyciela, rozkwita na nowo, przybierając postać odznaki, która łączy w sobie kształt róży i serca. Takie właśnie honorowe odznaki przyznajemy Ulubionym Nauczycielom wybranym spośród tych, którzy zostali zgłoszeni.

Potrafi zrozumieć młodość

Chciałabym, aby „Szkarłatną Różę" otrzymała nasza polonistka, pani **Krystyna Ryba**, ucząca w Zbiorczej Szkole Gminnej im. M. Skłodowskiej-Curie w Alwerni (woj. krakowskie).
Jest nauczycielką, która potrafi zrozumieć młodość, potrafi docenić wartość każdego ucznia, nawet tego, który na co dzień, wśród grona swych rówieśników, uchodzi za „psującego opinię klasy". Jest prawdziwą naszą przyjaciółką: potrafi pomóc w najtrudniejszej sytuacji, potrafi też rozstrzygnąć spory i konflikty między nastolatkami.
Lekcje prowadzone przez panią Krystynę są zawsze ciekawe i zmuszają do pracy. Nie jest to dla nas obowiązek 45-minutowego siedzenia w klasie, ale wspaniała rozrywka umysłowa, czas, gdy każdy może ujawnić swoje poglądy na różne sprawy. Na lekcji języka polskiego z najbardziej błahego tematu rozwija się burzliwa dyskusja. Nawet najsłabsi uczniowie zabierają głos w tych klasowych debatach.
Pani Krystyna Ryba jest także opiekunką SU oraz „Wszechnicy Dziennikarskiej", która wydaje „Kurierek Szkolny". Zawsze pełna jest różnorodnych pomysłów, aprobuje też pomysły młodych i namawia do ich realizacji dla wzbogacenia życia naszej szkoły. Zwracając się do Niej z jakąś prośbą, można być pewnym, że w miarę swoich możliwości pomoże, jednocześnie ucząc samorządności i samodzielności. Moim zdaniem, pani Krystyna Ryba zasługuje na to honorowe wyróżnienie, jakim jest „Szkarłatna Róża".

Ata

Nie robi z dwói narzędzia do walki z nami...

„Przyjaciel to ta cząstka człowieka, która jest dla ciebie przeznaczona i otwiera przed tobą drzwi..." – tak napisał wielki Antoine De Saint-Exupéry. To określenie wydało nam się trafne do oceny naszej nauczycielki z Liceum Ogólnokształcącego im. Oswalda Balzera w Zakopanem, pani **Ireny Mozdyniewicz**.
Jest wspaniałą nauczycielką i wspaniałym człowiekiem. Podziwiamy ją przede wszystkim za to, z jakim uporem przekazuje nam swoje wiadomości na temat niełatwych zagadnień biologii współczesnej. Wiemy dobrze o tym, że poświęca swój prywatny czas na stałe rozszerzanie wiadomości z przedmiotu, który wykłada, a który ciągle się rozwija. Robi to, aby i nam przekazywać najnowszą wiedzę i móc podyskutować z nami. A przecież mogłaby korzystać tylko z wiadomości, jakie posiada – byłoby to już i tak wiele.
Wydaje się nam wprost niemożliwe, żeby – mając męża i trójkę małych dzieci – potrafiła jeszcze wygospodarować dla siebie czas na poszerzenie swej wiedzy. A jednak Jej się to udaje. Aby przybyć do szkoły, musi wstać bardzo wcześnie, gdyż mieszka w Nowym Targu, oddalonym od naszego miasta o ponad dwadzieścia kilometrów. Przyjeżdża pociągiem, kiedy zimą jest jeszcze ciemno, wraca, gdy zaczyna się ściemniać.
Jej poświęcenie dla spraw szkoły i uczniów jest ogromne.
To z Jej inicjatywy udało nam się zrobić ogródek szkolny i alpinarium. Nawiązała łączność z Miejskim Zakładem Zieleni, skąd otrzymała niezbędną pomoc. Pani Profesor prowadzi także koło biologiczne, dla którego tematykę zajęć proponujemy my – uczniowie. Jest również opiekunką Szkolnej Kasy Oszczędności (prawie każdy uczeń należy do SKO). Cała szkoła należy do Ligi Ochrony Przyrody. Przychodzą do nas ludzie związani z ochroną przyrody na terenie Zakopanego i Gminy Tatrzańskiej, zapraszani przez Panią Profesor na spotkania.
Nie jest łatwo zarazić ucznia bakcylem nauki. Wydaje się nam, że udało się tego dokonać pani prof. Mozdyniewicz. Pokochaliśmy przedmiot, który wykłada – biologię, jak żaden inny. Uczymy się nie pod przymusem, lecz z przyjemnością. Lekcje biologii nigdy nie są nudne. Pani Profesor jest stanowcza, ale sprawiedliwa. Wykłada tak cudownie prosto, że chyba nie ma osoby, która by czegoś nie zrozumiała. Jednocześnie nie ma na Jej lekcjach grozy strachu przed pytaniem. Wiemy, że możemy również czasem z Nią pożartować, gdyż nie jest Ona człowiekiem, który nie wie, co to uśmiech. A to nam tak bardzo potrzebne, bo czyż nie jest wspaniałe, gdy nauczyciel wchodzi do klasy uśmiechnięty? Często wydaje się nam, że Jej lekcje biegną szybciej i jesteśmy zaskoczeni... dzwonkiem na przerwę.
Pragniemy także powiedzieć o stosunku Pani Profesor do nas. Nigdy nie okazuje nam swej wyższości. Gdy ma dyżur na korytarzu, na przerwie, często podchodzi do uczniów i rozmawia z nami. Nie jest naszą wychowawczynią, jednak zwierzamy się Jej ze swych kłopotów i zmartwień wiedząc, że zawsze mądrze poradzi. A my – młodzież – mamy wiele kłopotów i problemów, z którymi nie umiemy poradzić sobie sami...
W szkole dobra nauczycielka, na wycieczkach jest najwspanialszą przyjaciółką. Szczera, prosta, otwarta, nigdy nie pozuje na kogoś, kim nie jest. Ucznia, który otrzymuje dwóję, pyta dyskretnie o przyczynę nieprzygotowania, nigdy nie robi z dwói narzędzia do walki z nami. Po prostu uczy nas biologii i... życia. Pani Irena powtarza zawsze, że uczymy się nie dla niej, lecz dla siebie. I właśnie dlatego prosimy o przyznanie Jej „Szkarłatnej Róży" – najwspanialszej nagrody dla nauczyciela. W ten sposób chcemy okazać, jak bardzo Ją kochamy...

Licealistki i Licealiści
(20 podpisów)

Potrafiła połączyć dobroć z mądrością

Pani **Eugenia Łozicka** ma obecnie 80 lat i mimo sędziwego wieku jest osobą żywo interesującą się wszystkim i pełną uroku osobistego. Przepracowała pół wieku w szkołach podstawowych w Płocku, jako nauczycielka młodszych klas. Będąc młodą nauczycielką odbywałam praktykę w szkole, w której poznałam panią Eugenię. Uczyłam się od niej, jaki być powinien nauczyciel prawdziwy – taki z powołania. Była zawsze pogodna, dobra dla ludzi, taktowna wobec dzieci i dorosłych. Na Jej twarzy gościł przyjacielski

RÓŻA '85/86

uśmiech, a każde słowo, każdy gest, nawet karcący, był życzliwy dla dziecka.
Jak trudno jest niekiedy połączyć miłość do dziecka z rozsądkiem i wymogami wychowawczymi. Pani Eugenia potrafiła połączyć dobroć z mądrością. Łagodnym, miłym głosem mówiła do uczniów, uczyła miłości do ziemi ojczystej, do mowy rodzinnej. Jej lekcje nazwał ktoś „koncertami".
Nigdy nie podnosiła głosu. Wnikliwie sprawdzała zeszyty domowe i klasowe uczniów. Była sprawiedliwa w ocenach. Głęboko przeżywała niepowodzenia uczniów, szczerze cieszyła się ich sukcesami.
Zawsze podziwiałam psychiczną odporność pani Eugenii. Wiedziałam, że była w hitlerowskim obozie zagłady, przeszła gehennę, wiele wycierpiała. Aresztowano ją i wywieziono do Niemiec w 1940 roku za to, że była polską nauczycielką. Do kraju wróciła w 1946 roku. Zaraz po wyjściu z obozu, chociaż schorowana i znękana strasznymi przeżyciami, zbierała wokół siebie dzieci i młodzież polską, by im pomóc, ocalić i zacząć uczyć.
Gdy ja przeżywam teraz jakieś trudy życia codziennego, gdy mam kłopoty, które wydają mi się nie do zniesienia, myślę o pani Eugenii, o tym, co Ona przeszła, a mimo to nie straciła pogody ducha – i nabieram wtedy sił i wiary w siebie. Ona potrafiła piękno i dobro, które ma w sobie, ofiarowywać wszystkim, z którymi stykała się na co dzień.
Wiele uczyniła dla swojej szkoły, dla swojego miasta. Przez pół wieku nauczycielskiej pracy wychowała wiele pokoleń i każdy, kto wspomina panią Eugenię, uśmiechnie się i serdecznie zamyśli.
Praca z młodszymi klasami jest trudna. Wymaga wiedzy i tzw. podejścia do ucznia. Pani Eugenia szczególnie dobrze rozumiała potrzeby, marzenia i tęsknoty małego dziecka. Jej stosunek do dzieci miał w sobie coś z ducha Janusza Korczaka. Zamiłowanie do zawodu i wiedza pedagogiczna oraz szlachetność charakteru uczyniły z Niej wzór dobrego Nauczyciela i pięknego Człowieka.
Ja też jestem nauczycielką. Pracuję już dwudziesty rok w szkole i pani Eugenia jest dla mnie wciąż najlepszym wzorem pedagoga.
Myślę że właśnie Ona zasługuje na przyznanie „Szkarłatnej Róży".

„Wrzos" – nauczycielka z Płocka

Cierpliwością i opanowaniem zdumiewa wszystkich

Za człowieka godnego „Szkarłatnej Róży" uznaliśmy pana **Jerzego Raszkę**, wychowawcę, a zarazem nauczyciela fizyki w Szkole Podstawowej nr 1 im. Gustawa Morcinka w Skoczowie.
Pan Raszka jest naszym wychowawcą już – a może dopiero – trzy lata. Warto dodać, że jesteśmy pierwszą klasą w jego karierze wychowawczej. Mimo to od razu stał się naszym najlepszym przyjacielem i doradcą. Potrafi znaleźć z nami wspólny język, czasami nawet swoją cierpliwością i opanowaniem zdumiewa wszystkich. Uczestniczy w naszych codziennych sprawach i kłopotach jak dobry „ojczulek". Najważniejsze jest to, że nie są mu one obojętne.
Na Jego lekcjach czujemy się swobodnie, a poza tym nikt się nie nudzi. Najlepszym tego dowodem są nie poniszczone ławki w klasie fizycznej. Wszystkie lekcje fizyki są nam przekazane w sposób przystępny, co umożliwia ich zrozumienie.
My Pana lubimy i On nas też lubi. Dowodem jest jego troskliwość, zaangażowanie w życie klasy. We wrześniu np., kiedy przyszliśmy do szkoły, nie czekała na nas wyłącznie udręka nowego roku szkolnego, ale mieliśmy od razu perspektywę wycieczki. Została ona przygotowana przez Pana co do najmniejszego szczegółu już w czasie wakacji. Nie były to tylko plany i zamiary. Wszystko poszło dobrze i teraz wspominamy ją jako bardzo udaną.
Nasz Pan angażuje się społecznie w życie całej szkoły. Jest „dobrym duchem" szkoły, który potrafi wszystkiemu zaradzić. Wszyscy zwracają się do Niego z pozornie niewykonalnymi sprawami. Tak stało się w przypadku jednej z klas. Nikt nie mógł sobie z nią poradzić. Wtedy to panu Raszce, który był już wówczas naszym wychowawcą, zaproponowano objęcie opieki nad nią. Stanął przed dylematem – my czy oni. Wybrał obie klasy. Nie lękał się zbyt dużej pracy i odpowiedzialności, nadmiaru obowiązków. Utarło się wówczas w szkole powiedzenie: „Gdzie diabeł nie może, tam Raszka pomoże".
Pragnęlibyśmy bardzo, żeby pan Raszka otrzymał „Szkarłatną Różę" w nagrodę za trud wychowawczy.

Klasa VIII C

Nasza Druhna

Jesteśmy uczniami Zasadniczej Szkoły Zawodowej przy Specjalnym Ośrodku Szkolno-Wychowawczym w Suwałkach. Naszą drużynową do niedawna była druhna hm PL **Julianna Anuszkiewicz** – wychowawczyni w internacie i nauczycielka.
Jej lekcje i zajęcia w internacie dały nam (i dają nadal) wiele niezapomnianych przeżyć. A zbiórki – były wprost cudowne! Jej zawdzięczamy udział w zlocie drużyn „Nieprzetartego Szlaku" Chorągwi Suwalskiej w Węgorzewie (1982 – II miejsce) oraz dwukrotnie w rajdach organizowanych przez KH ZHP Suwałki, gdzie byliśmy jedyną drużyną ze szkoły specjalnej. W obu rajdach (w 1984 i w 1985 r.) zajęliśmy I miejsce.
Chociaż nie jest już od września naszą drużynową, nadal przychodzi na zbiórki, pomaga nam. Odchodząc z funkcji drużynowej, nie zostawiła nas samych, ale gdy zaczęła chorować – namówiła do pracy z nami swojego młodszego kolegę – naszego obecnego drużynowego, druha Adama.
Zawsze jest uśmiechnięta, chociaż czasem damy się jej dobrze we znaki. Za lekcje, zbiórki i uśmiech chcielibyśmy Jej podziękować tak, jak na to zasługuje. Niedługo minie 30 lat od dnia, kiedy nasza Druhna złożyła Przyrzeczenie Harcerskie (nosi mundur nieprzerwanie do dziś). Chcemy uczcić Jej poświęcenie dla nas i dlatego prosimy bardzo o przyznanie naszej Druhnie Juliannie odznaki „Szkarłatnej Róży". Czuwaj!

21 DSH „NS"
„Korniki"

Zgodnie z warunkami plebiscytu, kandydatem do „SZKARŁATNEJ RÓŻY" może być każdy Nauczyciel i Wychowawca, a także Nauczyciel-Emeryt. Prawo do zgłaszania kandydatów mają wszyscy – obecni i byli uczniowie, nawet już ludzie dorośli, którzy pragną w ten sposób wyróżnić swych obecnych lub dawnych Nauczycieli – PRAWDZIWYCH PRZYJACIÓŁ UCZNIÓW oraz MISTRZÓW W NAUCZYCIELSKIM ZAWODZIE.

Wydaje nam się, że przedstawieni kandydaci zasługują na miano „Przyjaciół" i „Mistrzów".

(red.)

Nadchodzi XXI wiek

WODÓR U PROGU WIELKIEJ KARIERY

Ci z Was, którzy czytali powieść Bolesława Prusa „Lalka", przypominają sobie zapewne postać szalonego profesora Geista, który namawiał bohatera książki, zamożnego kupca Wokulskiego, do poświęcenia fortuny na prace związane z uzyskaniem metalu lżejszego od powietrza. Geist wierzył, że metal taki uda się uzyskać poprzez badania nad chemią wodoru. Uważał również, że ów metal można będzie wykorzystać do budowy bojowych maszyn latających...

Co prawda takiego metalu nie udało się jak dotąd uzyskać, ale zaledwie kilkadziesiąt lat po napisaniu „Lalki" maszyny latające zbudowane z metali cięższych od powietrza na dobre zawładnęły przestworzami. A wodór? Wszystko wskazuje na to, że może on odegrać wielką rolę w najbliższej przyszłości. Przypomnijmy więc, jakie są jego właściwości, jak wykorzystywano go w technice i jakie wiąże się z nim nadzieje na przyszłość.

Wystarczy odkręcić kran...

Wokół nas jest stosunkowo niewiele wodoru w stanie wolnym. W tej postaci występuje tylko w gazach wulkanicznych i w górnych warstwach atmosfery. Wystarczy jednak tylko odkręcić kran, aby zobaczyć najpospolitszy związek wodoru – wodę. Dzięki temu, że na naszej planecie w oceanach, morzach, jeziorach i rzekach występują ogromne ilości wody, możemy również mówić o nieograniczonych zasobach wodoru.

Po raz pierwszy wodór w stanie wolnym uzyskał w 1661 r. angielski chemik, fizyk i filozof Robert Boyle. Otrzymał on „palne powierze" podczas reakcji żelaza z kwasami. Jednak za odkrywcę wodoru uważa się innego Anglika, Henry'ego Cavendisha, któremu nie tylko udało się wydzielić wodór, ale również zbadać jego własności fizyczne i chemiczne, ale za odrębny pierwiastek chemiczny uznał wodór dopiero francuski chemik, Antoine L. Lavoisier, w 1783 r.

Wodór jest najlżejszą substancją chemiczną występującą w przyrodzie. W postaci gazowej jest on aż 14-krotnie lżejszy od powietrza. W bardzo niskich temperaturach zachowuje się jak ciecz lub ciało stałe. Ale i w tych postaciach jest niezwykle lekki. Po raz pierwszy skroplenie, a następnie zestalenie wodoru przeprowadził w 1899 r. James Deware.

Wodór jest pierwiastkiem powszechnie występującym we wszechświecie. Dzięki tzw. analizie widmowej astronomowie odkryli jego obecność w odległych galaktykach.

A jak wygląda atom wodoru? Wokół jądra złożonego z pojedynczego protonu, czyli cząstki elementarnej o dodatnim ładunku elektrycznym, krąży wielokroć mniejszy elektron obdarzony ładunkiem ujemnym. Ale wodór może istnieć jeszcze w dwóch innych tzw. izotopowych odmianach. Powstają one, gdy do protonu dołączy jedna lub dwie cząstki elementarne pozbawione ładunku elektrycznego – neutrony. Takie trzy odmiany wodoru noszą nazwy: prot (bez neutronów), deuter (1 neutron) i tryt (2 neutrony).

Lotnicza kariera wodoru

To że wodór jest lżejszy od powietrza – wykorzystano w baloniarstwie. Na pomysł ten wpadł francuski fizyk Jacques Charles. Start pierwszego balonu wodorowego nastąpił w Paryżu 27 sierpnia 1783 r., a pierwszy lot załogowy odbył się w grudniu tegoż roku.

Balon Charlesa stanowił swego rodzaju konkurencję dla balonu braci Mongolfierów, wypełnionego ogrzanym powietrzem. Wodór dla potrzeb lotów balonowych produkowano w podobny sposób, jak czynił to Boyle, a mianowicie przy wykorzystaniu reakcji opiłków żelaza lub cynku z rozcieńczonym kwasem siarkowym.

W końcu XVIII wieku próby balonowe wzbudzały ogromne zainteresowanie opinii publicznej, ściągając na pokazy tłumy widzów. Najsłynniejszym aeronautą tego okresu był Francuz Jean Pierre Blanchard, który swymi odważnymi wyczynami zdobył sobie w Europie i Ameryce sławę podobną do tej, jaką prawie 200 lat później zyskali pierwsi astronauci. W XIX wieku przeprowadza się już balonowe próby lotów wysokościowych. We wrześniu 1862 r. dwaj Anglicy osiągają w koszu balonu wysokość 8838 m. Wynalazkiem Charlesa zainteresowało się także wojsko, które zaczęło stosować balony do obserwacji pola bitwy.

Balony posiadały jednak wielką wadę. To, w jaką stronę poruszały się, zależało wyłącznie od kierunku wiatru. Dopiero sterowce, czyli balony wyposażone we własny napęd, mogły poruszać się swobodnie. Sterowiec, który kształtem przypomina cygaro, lub jak kto woli ogórek,

Wybuch bomby wodorowej ▶

Pożar wypełnionego wodorem sterowca „Hindenburg"

w swojej ogonowej części ma stery kierunku i wysokości. Napęd zaś stanowią silniki spalinowe lub elektryczne poruszające śmigła podobne do stosowanych w samolotach.

Najlepsze lata sterowców przypadły na koniec XIX i początek XX wieku. Nazywane one były często zeppelinami od nazwiska niemieckiego konstruktora Ferdynanda von Zeppelina, który w 1900 r. skonstruował pierwszy sterowiec szkieletowy. Dzięki konstrukcjom Zeppelina Niemcy przez wiele lat przodowali w tej dziedzinie lotnictwa. W czasie I wojny światowej użyli nawet sterowców do bombardowania Wielkiej Brytanii. W okresie międzywojennym sterowce weszły do komunikacji lotniczej, a w 1924 r. sterowiec ZR III pokonał Ocean Atlantycki. Utorowało to drogę do otwarcia regularnego połączenia sterowcowego między Europą i Ameryką.

Sterowce, wyposażone w wygodne kabiny pasażerskie, silniki dużej mocy i różne urządzenia nawigacyjne okazały się jednak pojazdami niebezpiecznymi. Najmniejsza iskra spowodować mogła straszliwą w skutkach eksplozję zawartego w ich zbiornikach wodoru. Tak właśnie stało się w maju 1937 r., gdy stojący na uwięzi na jednym z lotnisk gigantyczny niemiecki sterowiec transatlantycki „Hindenburg" eksplodował, powodując śmierć 86 osób. Po tej katastrofie wycofano sterowce z linii komunikacyjnych, a również lotnictwo wojskowe korzystające z coraz doskonalszych samolotów zrezygnowało ze stosowania sterowców. Współcześnie sterowce używane są bardzo rzadko, a do ich napełniania stosuje się kosztowny, ale za to niepalny gaz – hel.

Tak więc w dzisiejszym lotnictwie wodór nie ma większego znaczenia, ale już wkrótce sytuacja ta może się zmienić, gdyż w biurach konstrukcyjnych powstają już projekty samolotów napędzanych ciekłym wodorem. Wprawdzie czterosilnikowy samolot komunikacyjny musiałby zabrać więcej ciekłego wodoru niż zabiera obecnie nafty lotniczej, ale produktem spalania w jego silnikach turboodrzutowych byłaby zupełnie nieszkodliwa dla środowiska para wodna. Trzeba jednak jeszcze pokonać poważne problemy techniczne, zapewniając np. odpowiednią izolację cieplną zbiornika z ciekłym wodorem o temperaturze minus 253 stopni Celsjusza. Przydadzą się tu doświadczenia zebrane w ciągu ostatnich 20 lat przy konstruowaniu rakiet kosmicznych napędzanych ciekłym wodorem. Ciekły wodór i ciekły tlen były materiałami pędnymi w dwóch spośród trzech stopni rakiety księżycowej Saturn V, a obecnie służą do napędu silników głównych wahadłowca Columbia.

Wodór – nadzieja energetyki

1 listopada 1952 r. niebo nad Pacyfikiem rozbłysło tak, jakby tu właśnie na atolu Einwetok Słońce opadło na Ziemię, unicestwiając wszystko dokoła. Był to próbny wybuch pierwszej amerykańskiej bomby wodorowej, nazywanej także termojądrową.

W bombie wodorowej – najpotężniejszym jak dotąd narzędziu zniszczenia – wykorzystano izotopy wodoru: deuter i tryt. Pierwsza bomba wodorowa była czymś w rodzaju gigantycznej lodówki o masie 65 tysięcy kilogramów, w której izotopy wodoru utrzymywano w stanie ciekłym.

W przeciwieństwie do bomby atomowej, gdzie potężne ilości energii wydzielane są podczas rozbijania jąder atomów tzw. ciężkich pierwiastków (np. uranu lub plutonu) – w bombie wodorowej następuje łączenie się jąder atomowych izotopów wodoru w jądra helu, co również wiąże się z wydzielaniem ogromnej energii. Zapalnikiem takiej bomby jest „zwykła" bomba atomowa. Jej wybuch stwarza odpowiednie warunki (temperatura rzędu milionów stopni i ciśnienie rządu milionów atmosfer), w których występuje tzw. synteza (łączenie) jąder atomowych.

Już w latach czterdziestych udało się nie w eksplozji atomowej, lecz w sposób kontrolowany uzyskać energię z rozszczepiania jąder atomowych, natomiast wykorzystanie syntezy termojądrowej w energetyce wciąż nastręcza ogromne trudności. Prace nad zbudowaniem odpowiedniej aparatury prowadzi się głównie w ZSRR, USA i Wielkiej Brytanii. Chodzi o zbudowanie takiego reaktora termojądrowego, który zapewniałby w sposób ciągły odpowiednią temperaturę i ciśnienie umożliwiające właściwy przebieg reakcji.

Opanowanie techniki kontrolowanej reakcji termojądrowej otwiera przed energetyką zupełnie nowe możliwości. Paliwa dla takich reaktorów – deuter i tryt – są łatwo osiągalne. Deuter powszechnie występuje w przyrodzie, a tryt otrzymuje się przy reakcjach jądrowych. Innym koniecznym materiałem jest lekki metal lit, którego ziemskie zasoby starczyłyby na tysiące lat. Optymiści twierdzą, że zastosowanie tego niewyczerpalnego niemal źródła energii będzie możliwe już z początkiem XXI wieku. Jest to tym bardziej ważne, że jak wiadomo węgiel, ropa naftowa, gaz ziemny i uran wyczerpują się.

Być może więc już w przyszłym stuleciu właśnie wodór stanie się najważniejszym źródłem energii. Głównymi urządzeniami wytwarzającymi energię będą reaktory termojądrowe, a uzyskana w nich energia zostanie przekształcona na energię elektryczną, podobnie jak to się dzieje obecnie w typowej elektrowni cieplnej.

Uzyskany w ten sposób prąd elektryczny będzie mógł służyć do rozkładania wody na tlen i wodór w reakcji elektrolizy. Otrzymane gazy zostaną skroplone i w płynnej postaci stanowić będą paliwo energetyczne, które będzie można bez trudu przesyłać rurociągami. Zastąpią one obecne linie przesyłowe wysokiego napięcia. Rozwiązanie takie jest znacznie tańsze i bezpieczniejsze.

Użytkowanie rozsyłanego w ten sposób paliwa będzie się odbywać za pomocą tzw. ogniw paliwowych – urządzeń opracowanych dla potrzeb dzisiejszej kosmonautyki. Produkują one z ciekłego tlenu i wodoru energię elektryczną i... czystą wodę. Ogniwa takie stanowią też nadzieję dla motoryzacji. Ich wprowadzenie położyłoby kres kłopotom z benzyną, likwidując równocześnie zanieczyszczenie powietrza spalinami. Czy wodór rzeczywiście spełni te wielkie nadzieje? Czy zamiast bomb wodorowych zaczną powstawać elektrownie termojądrowe? Jest to pytanie, od którego zależy przyszłość świata...

JACEK NOWICKI i KRZYSZTOF ZIĘCINA

Tak wygląda projektowany pierścień reaktora termojądrowego

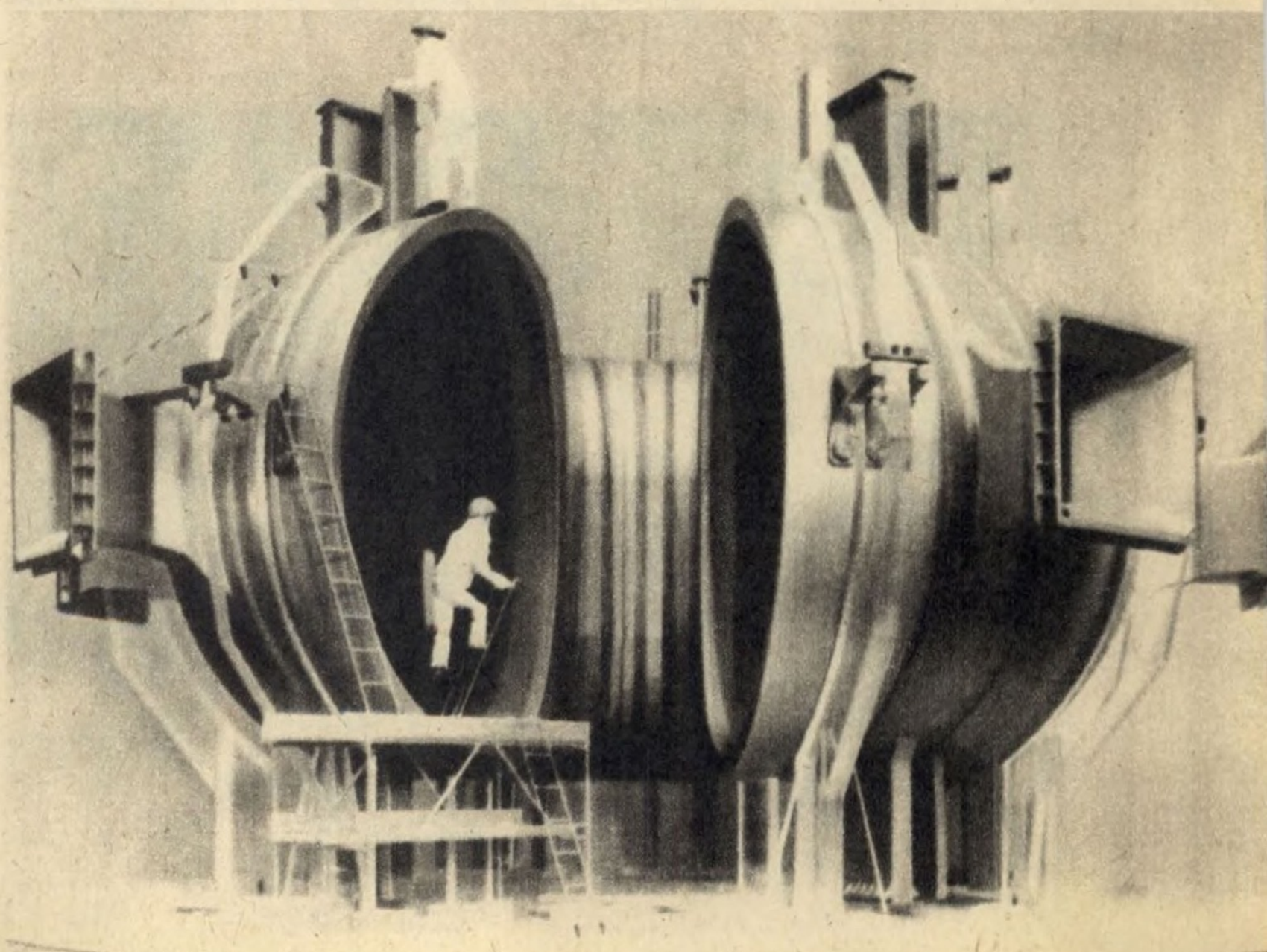

O Meksyku wiele się ostatnio pisało w związku z tragicznym trzęsieniem ziemi, jakie jesienią ubiegłego roku dotknęło stolicę i niektóre inne regiony. Spowodowało ono śmierć kilkudziesięciu tysięcy ludzi i przyniosło wielkie straty gospodarcze.
Mimo to Meksykanie nie zrezygnowali z organizowania u siebie w czerwcu tego roku piłkarskich mistrzostw świata. Jest to bowiem impreza, która przyciąga wielką falę turystów, kibiców z całego świata. A turystyka stanowi ważne źródło dewizowych dochodów dla tego ubogiego, przeludnionego kraju, borykającego się z trudnościami ekonomicznymi (ponad 60 miliardów dolarów zadłużenia).
Jednym z najsłynniejszych ośrodków turystyki, przyciągającym bogatych przybyszów, jest Acapulco. Ta egzotyczna nazwa pojawia się w wielu piosenkach sławiących urodę tych stron.
Być w Acapulco – to jakby zajrzeć do rajskiego ogrodu. Otóż autorce tego reportażu, która przez kilka lat mieszkała w Meksyku, zdarzyło się właśnie być w Acapulco. Tragiczne trzęsienie ziemi oszczędziło wybrzeże Pacyfiku. A więc wybierzmy się obejrzeć to jedno z najsławniejszych dzięki swej urodzie miast świata. ***(red.)***

SŁYNNE MIASTA ŚWIATA

ACAPULCO

Nocny widok Acapulco

Popisy wodnych narciarzy

ZAPACH OCEANU

Amerykę Łacińską, obejmującą siedemnaście państw, zamieszkuje ludność mówiąca językami pochodzenia łacińskiego: hiszpańskim i portugalskim, dlatego ogólnie zostali oni nazwani Latynosami. Latynosi lubią kwiecistość mowy i skłonni są do przesady, toteż często spotyka się na tym kontynencie takie nazwy, jak Mały Paryż, Prawdziwa Szwajcaria, Światło Ameryki, chociaż dotyczą one zupełnie przeciętnych miejscowości. Acapulco przewodniki turystyczne reklamują jako Perłę Pacyfiku, tylko że w tym przypadku nie ma żadnej przesady; jest to prawdziwy klejnot – miejscowość niezwykle piękna.

Od stolicy Meksyku dzieli to słynne kąpielisko 450 km. Doskonale utrzymana autostrada kluczy w krajobrazie poszarzałych erozyjnych wzgórz. Najczęściej spotyka się kaktusy. Olbrzymie agawy krzyżują twarde ramiona swoich łodyg, zaopatrzone w kolce ostre niczym stalowe igły. Kukurydza jest tutaj rośliną najbardziej wierną człowiekowi. Idzie za nim przez góry, wspina się na zbocza, gdzie żółcą się i zielenią kwadraciki uprawionych poletek, dając nadzieję na obfitość placków kukurydzianych zwanych tortillas.

Opuszczając góry trzeba przejechać skalisty Wąwóz Sępów – Canon de Zopilotes, nagrzany jak piec chlebowy, gdzie powietrze stoi i po prostu parzy. Kierowcy drżą na samą myśl o mogącej wydarzyć się awarii na tym krótkim, ale trudnym odcinku. Jeszcze kilkadziesiąt kilometrów nudnej drogi i dojeżdża się do miejsca, skąd widać w dali gaj palmowy. Targane wiatrem korony wysokich palm kokosowych pochylają się jak w powitalnym ukłonie. Samochody zatrzymują się. Bo jakże nie stanąć przed ułożonymi w piramidy orzechami kokosowymi wiedząc, że ich wnętrze wypełnia chłodny, mleczny płyn.

Każdy wybiera sobie orzech, potrząsając nim nad uchem, aby sprawdzić, czy zawiera dużo płynu. Ciemnoskóry sprzedawca, uśmiechnięty od ucha do ucha, nacina kokosy maczetą z taką wprawą, jakby to były kromki chleba. Teraz już tylko należy orzech odpowiednio przechylić, tak aby przez wycięty trójkącik polał się płyn wprost do ust.

Nie tylko dla orzechów kokosowych zatrzymują się jadące z Meksyku samochody. Tutaj, od tego właśnie miejsca czuje się już zapach oceanu. Jeszcze niewidoczny, daje o sobie znać wiatrem przesyconym słonym oddechem. Wilgotna bryza zapowiada bliskość wielkiej wody.

Jadąca w samochodach dzieciarnia wpada w euforię. Szczególnie chłopcy, jakby ich diabeł opętał. Rozebrani do kąpielówek wystawiają gołe nogi przez otwarte okna samochodów i tak jadą na spotkanie z oceanem. Wszyscy śpiewają i wiwatują przy wymijaniu innych wozów, w ten sposób wyrażając swoją radość.

– I to za wiele – rzekła Kotońska. – Ja wszystko trzymam na koncie, a jak potrzebna gotówka, wsadzam tu! – poklepała swoją pękatą torbę, z którą się nigdy nie rozstawała. – Pieniądze, koleżanko, trzyma się na koncie... – powtórzyła.

– Misia miała właśnie wpłacić na konto, kiedy zdarzyło się to nieszczęście – powiedziała Ciubińska.

– Kto miał wpłacić? Misia? To dziecko?! – oburzyła się Kotońska. – Czy ja dobrze usłyszałam, koleżanko?

– Koleżanka dobrze usłyszała – odparła wciąż spokojnie Ciubińska, tylko o jeden ton niższym i cichszym głosem. – Te nasze dzieciaki mają już po piętnaście lat i najwyższy czas zacząć je uczyć samodzielności, odpowiedzialności, gospodarności, załatwiania różnych życiowych spraw, także pieniężnych, nie tylko w szkole, ale i w banku...

– Tak... tak, to bardzo pięknie. Jestem za... jestem jak najbardziej za – pan Rożek podniósł do góry dłoń jak do głosowania w sejmie – ale czy nie mogła pani zacząć naukę tej, hm, samodzielności od mniejszej kwoty?

– I w ogóle zaczynać od Bączkowskiej?! – skrzywiła się Kwapszo. – Jak by nie było bardziej rozgarniętych od niej w klasie. Ta Bączkowska to takie ani me, ani be.

– Nie ma pani racji – odparła lekko już zadyszanym głosem Ciubińska. – Misia jest dostatecznie rozgarnięta. Zapewniam panią. Jest tylko nieśmiała i ma trochę za mało wiary w siebie. Może dlatego, że długo chorowała. W ciągu pół roku przeszła dwie operacje i wciąż jeszcze czuje się niepełnosprawna... I moim zdaniem bardzo dobrze się stało, że właśnie ją klasa obdarzyła specjalnym zaufaniem i powierzyła jej tę ważną, odpowiedzialną funkcję...

– Chwileczkę, pani Mario – przerwał zakłopotany Suchanek. – Czy mądra, rozgarnięta dziewczynka wkłada beztrosko tak poważną sumę do starej wymiętej koperty i paraduje z nią po korytarzach...

– Zapewne przechwala się, że ma przy sobie tyle pieniędzy, pokazuje – wysapała Kotońska. – A złodziej czyha.

– Może umyślnie z nimi paradowała – wtrąciła niespodziewanie Zajsowa.

– Umyślnie? Co pani chce przez to powiedzieć? – Ciubińska znieruchomiała.

– Umyślnie... żebyśmy uwierzyli, że mogła łatwo te pieniądze zgubić na korytarzu, podczas gdy w rzeczywistości...

– Co w rzeczywistości? Koleżanko Zajs?

– Nie chciałabym nic sugerować – Zajsowa spuściła oczy. – Jednak tego samego dnia, ta pani pupilka, Bączkowska, kupiła sobie rower.

Zapadła cisza. Rewelacja Zajsowej zrobiła duże wrażenie na zebranych.

– Ale to jeszcze nie wszystko – ciągnęła Zajsowa już zupełnie innym, oskarżycielskim głosem. – Niedawno ta niewinna Misia sprawiła sobie szałowy komplet plażowy.

– No cóż, wakacje się zbliżają, to zakup na czasie – rzekł Rożek.

– To był komplet z importu – zaakcentowała Zajsowa. – Żadna z nas takiego nie ma.

– A, ba! – Rożek rozłożył bezradnie ręce.

Wzburzona Ciubińska uniosła się z krzesła.

– I pani podejrzewa, że Misia kupiła sobie te rzeczy za pieniądze Klubu? Naprawdę podejrzewa pani?

– A pani nie? – zapytała Zajsowa z niewinną miną.

– Misia miałaby zrobić coś takiego?! Ja ręczę za jej uczciwość.

– No cóż, skoro pani Maria daje słowo? – Zajsowa wzruszyła ramionami z ostentacyjną bezradnością.

– W każdym razie – rzekła Kotońska – rzecz należałoby wyjaśnić do końca. Dla dobra wszystkich, a zwłaszcza uczennicy Bączkowskiej i pani Marii. Tylko w ten sposób możemy pozbyć się tej dwuznacznej atmosfery, jak się wytworzyła, i oczyścić niewinnych z podejrzeń, inaczej pozostanie zawsze mały odór nad tą sprawą, czyli fetor...

– Na... naprawdę głupstwo, Paula. Mam tylko wpaść do tego Toporejki z Komitetu Rodzicielskiego, na Ptasią osiem... Dyrektorka kazała go przyspieszyć i skontrolować płyty. Facet ma jakieś zboczenia...

– Zboczenia?

– Dziwny gust podobno. A to jest zabawa szkolna.

– Siadaj! – zdecydowała Paula. – Podwiozę cię do tego Toporejki.

Babul rozejrzał się, czy nikt nie widzi. Oczywiście, że widzą. Łobuzy, stale go obserwują. Teraz też, mimo że już po lekcjach, z okna sali „wytechu" wyjrzał rząd główek, to pewnie ci, co zostali przygotowywać dekorację, zagwizdali na palcach, obwiesie, i pomachali mu ręką. A piętro wyżej z sali muzycznej jakiś typ zatrąbił sygnałówką.

Babul westchnął i kurcząc się, pomyślnie dokonał operacji usadowienia się w maluchu.

– Że się urwiesz w terminie, nie wierzyłam od początku – rzekła Paula, zapuszczając motor – ale mam nadzieję, że przynajmniej rozmówiłeś się z dyrektorką.

– Niestety – odparł zmieszany Babul – nie było okazji. Była zaaferowana tym balem pożegnalnym, ale wieczorem będę się z nią jeszcze widział i powiem jej...

– Wieczorem? – Paula zmarszczyła brwi.

– No... na zabawie.

– Na jakiej znów zabawie?!

– No właśnie na tym balu pożegnalnym klas ósmych...

– Więc na dodatek dałeś się jeszcze wrobić w zabawę?! Dzidziusiu, co ty mi jeszcze powiesz?

– Już nic.

– Ręce opadają! Mieliśmy przecież iść do disco, a potem do starych na kolację. Do Firmy!

– Przykro mi, Paula... tak się fatalnie złożyło. Potwory przypomniały sobie, że nie odwaliłem od marca żadnego dyżuru, no i wrobiły mnie...

– W dyżur?! I ty się na to zgodziłeś?

– Co miałem robić? To fakt, że z dyżurami byłem bezczelnie do tyłu.

– Trzeba było się na nich wypiąć, Dzidziu. E, faja jesteś! Przecież to był właśnie moment, żeby się twardo postawić i wyłożyć kawę na ławę. Odchodzisz. Zwalniasz się od wakacji i gwiżdżesz na dyżury. Nie będziesz się użerał z małolatami za te parę tysięcy zet. Tyle dostaje byle klepacz, byle dmuchacz w Firmie za pięć dni! Za pięć dni, Dzidziu, i bez główkowania. No nic, powiesz to im na tej zabawie. Powiesz im, że zostajesz dmuchaczem.

– Jak ja im mogę mówić takie rzeczy...

– Dobrze – westchnęła Paula. – Lepiej nie mów, bo ich krew zaleje. Powiedz lepiej, że nie masz zdrowia i talentu do bachorów, rezygnujesz od zaraz. Jeśli chcą cię zatrzymać do końca czerwca, łaskawie się zgodzisz, ale bez żadnych dyżurów i nasiadówek po lekcjach. Przyjadę po ciebie o siódmej. Ty się pokażesz na zabawie dla formy, powiesz dyrektorce, co masz powiedzieć, i urwiesz się bez względu na to, co się będzie działo na tym balu, choćby sobie nawet urywali głowy. No, to chyba jesteśmy na miejscu, wysiadaj!

Babul wystawił z malucha nogę i głowę. Znieruchomiał nagle.

– Paula, gdzie ty mnie przywiozłaś?

– Do „Szarotki" na obiad.

– Miałaś mnie zawieźć najpierw do Toporejki!

– Wcale nie powiedziałam, że najpierw... – oświadczyła pogodnie Paula.

*

– Koniec spektaklu – powiedział Radek zamykając okno pracowni wychowania technicznego. – Panowie, do roboty, bo nigdy nie skończymy tych przeklętych girland.

Chłopcy odeszli od okien z wyraźnym żalem. Poddawanie obserwacji i nasłuchowi nauczyciela Babula, a następnie – komentowanie jego perypetii miłosnych było ulubioną rozrywką uczniów klasy ósmej.

– Lunatyk traci formę i refleks – zauważył Paweł.

– To fakt. Przykro było patrzeć. Ta bestia Paula wciągnęła go do wózka z dziecinną łatwością. Objawił kompletną bezradność – stwierdził wyraźnie zdegustowany Radek. Zmarszczył „mefistofeliczne" brwi, a jego twarz zrobiła się bardziej kwadratowa niż zwykle.

– Facet goni w piętkę. Miał ogłupiałą twarz, błędny wzrok i latała mu nerwowo grdyka. Szkoda, że tego nie widzieliście – powiedział Mietek Frycz starannie chowając do futerału wojskową lornetkę, którą świsnął ojcu dla prowadzenia zdalnej obserwacji. Następnie wyciągnął grzebień i z wyraźną przyjemnością, przeglądając się w lusterku, zaczął przyczesywać swoje modnie przystrzyżone włosy, łagodnie sfalowane i bardzo, chciałoby się powiedzieć – podejrzanie lśniące, koloru „pustynnych wydm", jak mówiły jego poetycznie usposobione wielbicielki.

– Paula traci cierpliwość. Ona z nim zerwie – rzekł z przekonaniem Paweł. – Była dzisiaj wyjątkowo spieniona.

– Tak – potwierdził Frycz. – Wyskubała wszystkie włosy z pudla.

– Z jakiego pudla? – Paweł zamrugał oczami.

– No, z tej maskotki, co dyndała w wózku. Z tego pieska. To z nerwów, jak czekała. A potem obdarła go ze skóry i wyrzuciła. Możecie zobaczyć. Jeszcze tam leży.

– Daj lornetkę! – Paweł pokuśtykał do Frycza niecierpliwie. Utykał na jedną nogę.

– Spokojnie, Kulas – Frycz flegmatycznie wyciągnął z futerału cenny instrument i podał Pawłowi. – Tylko nie upuść!

Paweł przez chwilę wpatrywał się ciekawie w ulicę.

– Jest! Widzę go! – zawołał podniecony.

– Pokaż! – wyrwał mu z rąk lornetkę Robert.

Wszyscy oglądali po kolei smętny ślad zniecierpliwienia Pauli. Na końcu obejrzał Radek.

– Niebezpieczna babka – skomentował zbulwersowany. – Oskubała i odarła ze skóry! O, Gorgona.

– Zobaczycie, to samo zrobi z Lunatykiem! – spróbował zażartować Frycz, ale nikt się nie roześmiał. W gruncie rzeczy wszyscy bowiem zaangażowali się osobiście w kłopoty Babula, sekundowali mu w nich poważnie, przeżywali i cierpieli razem z nim.

– Co wy... – Frycz popatrzył po nich zdumiony. – Naprawdę się tym przejmujecie?! Przecież to śmieszne! Żartowałem tylko – próbował się wycofywać. – Paula, to nerwowa babka, inna rzecz, że Lunatyk może być denerwujący... Wkurzyło ją, ale nie bójcie się, przejdzie jej, czy to pierwszy raz?

– Tak, przejdzie jej podczas upojnego wieczoru. Lunatyk ją rozbroi. On ma sposoby – dodał z przekonaniem Paweł, kuśtykając w kółko po pracowni, jak zwykle najbardziej podniecony.

– Nie będzie upojnego wieczoru – oznajmił niespodziewanie milczący dotąd, kędzierzawy osobnik, o bardzo szerokim, wypukłym „intelektualnym" czole, i bardzo wypukłych oczach za nobliwymi okularami ze złocistego drutu.

– Co?!

– Babul wieczór ma z głowy! Wampy mu wszystko popsuły.

– Co ty pleciesz, Mykwa?! Przecież odjechali.

– To nic. Odjechali do Toporejki. Wampy wlepiły mu dyżur na resztę dnia... Najpierw ma załatwić Toporejkę...

– Załatwić?! – przestraszył się Paweł, zawsze bardzo wrażliwy. – W jakim sensie?

– W sensie Hi-fi – odparł Mykwa. – A potem ma pilnować tego cholernego balu. Żeby nikt nie brykał i nie wychylił się.

– Lunatyk?!

– Właśnie on!

– Skąd wiesz?

pnej tonacji minorowej. Znała wszystkie modulacje głosu Harnej na pamięć i wiedziała, że ta nie wróży nic dobrego.

– Przepraszam – wymamrotała stropiona, wytarła kąciki oczu i poprawiła okulary.

– Mam wrażenie, koleżanko, że pani przespała całą naradę – rzekła z naganą Harna.

– Ależ nie... ja nie spałam.

– Nie słychać pani było, nawet kiedy na tapecie był Barabasz.

– Pani Ciubińska ostatnio nam się stale wyłącza – zauważył Rożek, czyszcząc fajkę. – Czyżby jakieś „splendid isolation"?

– Po prostu bolała mnie głowa.

– Czy może się pani na parę minut włączyć? – zapytała Harna. – Musimy jakoś załatwić tę przykrą sprawę z Bączkowską. Czy sądzi pani, że to się rozejdzie po kościach?

– Wcale tak nie sądzę.

– Więc co nam pani ma do powiedzenia?

– Obawiam się, że niewiele.

– Czy mamy przez to rozumieć, że pieniądze się nie odnalazły? – zmarszczyła brwi dyrektorka.

– Niestety nie.

– Słyszałam, że klasa urządziła zbiórkę pieniędzy, żeby wyrównać stratę – wtrąciła Kwapszo.

– Klasa chciała w ten sposób pomóc Misi, ale nie wyraziłam zgody – odparła Ciubińska. – Wiem, że niektórzy rodzice byliby przeciwni takiej zbiórce.

– I całkiem słusznie – rzekła Zajsowa. – To byłoby niesprawiedliwe i demoralizujące. Pieniądze powinien zwrócić ten, kto zgubił... lub sprzeniewierzył...

– Koleżanko! – przerwała wzburzona Ciubińska. – Pani sugeruje, że Misia...

– Ja niczego nie sugeruję. Sprawa jest prosta. Tak czy owak odpowiedzialność ponosi Bączkowska i ona, a ściślej jej rodzice powinni zwrócić tę kwotę. Ile tego było?

– Siedem tysięcy – odparła dyrektorka.

– A więc siedem tysięcy...

– Nie, koleżanko, to ja czuję się odpowiedzialna i ja zwrócę tę kwotę – przerwała Ciubińska. – Z mojej pensji czerwcowej i lipcowej...

– Pieniądze są potrzebne już teraz – zauważył Mandecki. – Klub zaplanował wycieczkę w Tatry na przyszły tydzień i spływ Dunajcem...

Ciubińska stropiła się.

– Nie, to nonsens! – oświadczyła głośno Zajsowa. – Koleżanka Ciubińska nie powinna nic płacić, koleżanka Ciubińska znana jest z dobrego serca, ale nie jesteśmy siostrami miłosierdzia, drodzy państwo. Nie można się dawać wodzić za nos takim wyrafinowanym pannicom jak Bączkowska. Naiwność nie jest zaletą pedagogiczną, ani pobłażliwość. Koleżanka Ciubińska moim zdaniem zbyt szybko zrezygnowała ze śledztwa w tej sprawie. Proponuję je wznowić i tym razem przeprowadzić je serio, ostro, i wnikliwie...

– A swoją drogą – wybuchnęła nagle głośno Kwapszo – powierzyć taką sumę tej Bączkowskiej! Co za lekkomyślność i beztroska! A potem rodzice przychodzą do mnie z pretensjami i muszę świecić oczami i pić nie swoje piwo, bo jestem wychowawczynią... Na próżno tłumaczę, że byłam od początku przeciwna temu Klubowi i że jest on pomysłem i domeną pani Marii.

– Misia Bączkowska była skarbniczką Klubu Miłośników Podróży i Przygody, została wybrana, koledzy jej zaufali i ja też, uznałam więc za rzecz naturalną, że będzie miała pieczę nad kasą Klubu – wyjaśniła Ciubińska.

– Ależ koleżanko, te funkcje w klubach są czysto tytularne i umowne, podobnie jak w samorządach – uśmiechnął się Rożek – nie bierze pani chyba serio tej zabawy w samorząd.

– Owszem, biorę zupełnie serio – odparła Ciubińska.

– No i oto skutki – rzekł triumfalnie Rożek, głaskając bródkę. – Ja skarbnikowi w moim kółku zostawiam do zabawy najwyżej sto złotych!

Radek patrzył nie dowierzając własnym oczom. Co ich nagle opętało?! Nędznicy! Pozazdrościli Elkowi! I oni mieli się za Ćwirów! Co za upadek i hańba!

A na domiar wszystkiego ta łajza Frycz w pogoni za Bachmacką wpadł w poślizg na kałuży i wyłożył się jak długi na oczach wszystkich. W oknach pokoju nauczycielskiego pojawiły się twarze gogów. Cała banda czmychnęła jak zmyta. Tylko jedna skręcona żałośnie girlanda została na ziemi i połyskiwała kolorowo wśród kałuż.

*

Maria Ciubińska, nauczycielka polskiego, połknęła dyskretnie kolejną tabletkę, korzystając z zaaferowania grona gogicznego sprawą ucznia Barabasza i jego spodziewanym występem na balu szkolnym. Która to już pastylka dzisiaj? I żadna nie pomogła. Pulsujący ból rozsadzał głowę. Na przerwach w umywalni nauczycielskiej wsadziła twarz pod lodowaty strumień wody, ból tępiał na jakiś czas i to były jedyne chwile ulgi, bo wystarczyło, że wyszła na korytarz, a powracał ze zdwojoną siłą. Krzyki i wycia młodzieży, a nawet głośne rozmowy, doprowadzały ją do obłędu. Czuła, jakby ktoś jeździł jej pilnikiem po odsłoniętym mózgu. A piski dziewcząt wdzierały się w każdą komórkę głowy jak ostre rozpalone sztylety. Od rana marzyła, żeby się wyrwać z tego piekła, tymczasem dyrektorka zaordynowała jeszcze tę okropną nasiadówkę. A przecież najgorsze dopiero nastąpi... Nastąpi, kiedy dyrektorka wróci do nieszczęsnej sprawy Misi. Z pewnością wróci. Odłożyła ją tylko na koniec, tak jak się odkłada możliwie najdalej bolesny zabieg, któremu trzeba się poddać.

I znów powróciły te natrętne, dręczące myśli, czy mogła aż tak bardzo pomylić się co do Misi Bączkowskiej? Czy mogła palnąć takie głupstwo ona, wychowawczyni paru pokoleń, czterdziestu roczników młodzieży i wcale pokaźnej grupy sławnych ludzi, odnotowanych w encyklopediach i słownikach? Najbardziej popularna nauczycielka w tym mieście, jak wykazywały od lat plebiscyty, wielokrotna kandydatka do „Szkarłatnej Róży" i do „Orderu Uśmiechu"?

Nie tak wyobrażała sobie swoje odejście ze szkoły na zasłużony wypoczynek po tylu latach pracy. Miała odejść w pełnym blasku gogicznej chwały, obdarzona kwiatami, nagrodami, pamiątkami, dekorowana orderami, honorowana dyplomami i medalami, obfotografowana, filmowana, zapisana trwale w Złotej Księdze Miasta i w kronice szkoły, jako wzór cnót gogicznych. A tymczasem zanosi się, że odejdzie cicho, wstydliwie, niemal chyłkiem, z plamą porażki, której nigdy nie zmyje, ugodzona w samo serce. Czyżby los miał jej spłatać na starość tak okrutnego figla? Nie! Wszystko musi się wyjaśnić. To absurd, czysty nonsens! Nie mogła aż tak pomylić się co do Misi. To nie błąd, to po prostu szatański zbieg przypadków. Misia jest niewinna i to musi być wykazane... Ale jak? Znów poczuła się bezbronna, bezradnie wplątana w sieć złego losu. Przyszedł jej na myśl dawno zapomniany werset z poezji klasycznej:

„O, Lachezys, włóż okulary, czy możliwe, byś taką nić żywota miała mi odmierzyć?"

Nie, to nie może być klasyka – zorientowała się nagle. – Skąd by te okulary u Lachezys! Kompromitacja! – pomyślała. – Już wszystko mi się miesza, oto miara mojego gogicznego upadku. A może to po prostu starość – przestraszyła się i zawstydziła, że za dużo myśli o sobie, a tymczasem powinna myśleć o Misi. Biedne dziecko! To ją los dotknął najboleśniej. Mało kto wierzy, że te pieniądze klubowe zgubiła, ordynarnie podejrzewają ją o kradzież! Nieszczęsna od wtorku nie pojawiła się w szkole, czuje się napiętnowana, zagubiona. Jest taka wrażliwa! Już przedtem nie wytrzymywała poszturchiwań losu, czy wytrzyma teraz takie brutalne pchnięcie. Najgorsze, że zła opinia pójdzie za nią w świat, a w każdym razie w to miasto. To miasto jest zbyt małe, by można się było w nim schować. Jak jej pomóc, czy w ogóle można jej pomóc?

– Koleżanko Ciubińska!

– Pani Mario!

Stara nauczycielka drgnęła. To chyba do niej ta mowa. Melodyjny stonowany zwykle głos dyrektorki zabrzmiał nutą zniecierpliwienia. Pojawiły się w nim charakterystyczne półtony w posę-

– Byłem akurat w „lamusie", brałem klej z półki i słyszałem gadanie w gabinecie; wiecie, że z tego schowka wszystko słychać. Zajsowa go tak wrobiła. To jej pomysł.

– Podłożyła mu świnię!

– Nie inaczej! Wiadomo, że Babul padnie w pierwszym boju, o ile przedtem się nie zbłaźni. Umyślnie to zrobiła, a wampy ją poparły. Nazwał je kiedyś partaczami i wampy się obraziły. Zaraz na początku podpadł, no więc teraz odegrają się na nim. – Mykwa ściszył głos i łypnął okiem czujnie w stronę drzwi. – Po prostu chcą pozbyć się Lunatyka.

– A Dyrna? A Dyrna się zgodziła? – zmarszczył brwi Radek.

– Miał zaległe dyżury i to był dobry pretekst. Trudno było oponować.

– I nikt go nie bronił?

– Trochę Suchanek, ale go zagłuszyli...

– Ale że Dyrna...

– Ona też chyba miała Lunatyka dosyć. Nie przystaje do nich. Krytykował, mądrzył się, chciał wprowadzić nowe metody...

– Tak jest – wtrącił Frycz. – Dyrna zawiodła się na Babulu. Słyszałem od rodziców. Tak nawet mówią w Komitecie Er. Myślała, że taki młody gog weźmie młodzież krótko za...

– Za pyszczki.

– Właśnie, i odciąży staruszków. A Babul mówił: „wyobraźcie sobie, że jestem waszym starszym kolegą i że możemy sobie wszystko szczerze mówić..." Pamiętacie?

Pokiwali głowami.

– To fakt... Siadał na ławkach... Kazał nam samym prowadzić lekcje... Miał pomysły.

– I nigdy nie krzyczał – dodał Paweł.

– Za to klasa się darła – zauważył złośliwie Mykwa.

Chłopcy umilkli zakłopotani.

– Wiecie, że na tej zabawie będzie facet z inspektoratu – odezwał się po chwili Mykwa.

– O, rany tego brakowało!

– I jak można się bawić na takiej zabawie!

– Panowie, to nas nie dotyczy... zamruczeli zgodnie.

Jasne, że ich nie dotyczyło. Jeszcze miesiąc temu postanowili, że tego popołudnia zamiast na bal udadzą się na mecz; a okazja była wyjątkowa. W ramach rozgrywek Pucharu Polski do miasta miał przyjechać nie byle kto – znany klub Bonka – Widzew!

– Wiecie, co ja myślę – odezwał się Frycz, podczesując w zamyśleniu swe niezwykłe włosy. – Dyrna umyślnie zaprosiła tego inspektora. Na obserwację. Żeby Lunatyk się przy nim skompromitował, żeby mogła powiedzieć, patrzcie kogoście mi dali, to przecież zupełny...

– „Lunatyk" – dokończył Mykwa. – W tym faktycznie może być myśl...

– Ależ skąd! – przerwał zniecierpliwiony Radek. – Demonizujesz, stary – zwrócił się do Frycza. – Czy na takiej zabawie od razu coś musi się zdarzyć?

– Na każdej. I Lunatyk nie da rady. Choćby wyszedł ze skóry. Słaby facet. Jak będzie rozróba – wysiądzie. Nie boją się go. W tym rzecz. Naprawdę szkoda faceta.

– Sam sobie winien – mruknął Mykwa. – Nabił sobie głowę dyrdymałkami.

– Myślisz?

– Mój stary tak mówi. A on się trochę na tym zna. Prowadził przychodnię dla nerwowo chorych nauczycieli. Mówi, że każdy gog na początku chce być równy i fajny, ale to im szybko przechodzi, jak grypa.

– I Babulowi też kiedyś przejdzie?

– Jasne. I może mu wszystko obrzydnąć. Facet poszedł na całego, ale mu jakoś nie wyszło. Nie wziął zakrętów. Rozumiesz? I może powiedzieć Dyrnie: „mam tego dosyć, cześć!" I więcej nie zobaczysz go w budzie. A ona się nawet nie zmartwi.

– Mnie by trochę żal było – powiedział Paweł.

S – jak SAMORZĄD

W Płomykowej debacie na temat: JAK W NASZEJ SZKOLE UCZYMY SIĘ SAMORZĄDNOŚCI? wezmą udział Ci, którzy najbardziej interesująco odpowiedzieli na to konkursowe pytanie – zadane przez nas w nrze 19 „Płomyka" z ub. roku.

Nabywanie umiejętności organizowania się, wspólnego myślenia i dyskutowania, podejmowania i wykonywania wspólnych postanowień – słowem, uczenie się samorządności jest procesem długim i niełatwym. Wymaga dobrej woli uczniów i... przynajmniej życzliwej zachęty ze strony nauczycieli.

Przekonują nas o tym listy pisane przez działaczy klasowych lub szkolnych samorządów oraz uczniów nie pełniących wprawdzie odpowiedzialnych funkcji, ale również zatroskanych o kształt szkolnej rzeczywistości. W Płomykowej dyskusji upatrują oni możliwości wymiany z rówieśnikami poglądów i doświadczeń.

Nie zabraknie też w naszej debacie głosów nauczycieli-opiekunów SU oraz doświadczonych pedagogów, którzy właśnie w samorządności uczniowskiej widzą szansę na poprawienie smaku szkoły.

Spośród nadesłanych prac konkursowych, niejednokrotnie bardzo obszernych, wybraliśmy do druku te fragmenty, które wydały nam się najbardziej interesujące i ważkie jako głosy w dyskusji. Dziś rozpoczętą – będziemy ją kontynuować w następnych numerach. Na zakończenie zaś ogłosimy nazwiska nagrodzonych uczestników konkursu.

A więc zaczynamy:

Pani Alojza Pasowicz z Chrzanowa:

Wdrażanie uczniów do samorządności to nader ważna, pilna sprawa społeczna i obywatelska. Wszak to oni – nasi obecni wychowankowie muszą być dobrze przygotowani do życia w szerokim tego słowa znaczeniu. Od ich aktywności, rozbudzonej inicjatywy, odpowiedzialności, umiejętności zgodnego współżycia i współdziałania zależy przecież tak wiele – teraz i w przyszłości.

Tkwiące w naszych uczniach bogactwo pomysłów, często organizatorskich zdolności, a nade wszystko ogromny potencjał chęci działania trzeba umiejętnie wyzwolić, uruchomić i z pietyzmem zadbać o to, by w wirze codzienności nic się nie zmarnowało. Wówczas prędzej wyrzucimy ze szkoły nudę, szarzyznę, złe samopoczucie, a wprowadzimy radość, uśmiech – zdrowy, serdeczny, życzliwy klimat, w którym każdemu dziecku będzie dobrze, miło, swojsko, „ciepło". Trzeba pamiętać o dążeniu do sukcesu każdej dziewczynki, każdego chłopca. Doskonale się oni sprawdzają właśnie w samorządnej działalności, gdzie pracy dla nikogo nie brakuje.

Nie wyobrażam sobie naszej szkoły bez SU(...)

Z przykładów przytoczonych dalej przez panią Alojzę wynika, że istotnie uczniowie z Chrzanowa wiele potrafią zrobić dla dobra szkoły, a więc – dla własnego dobra. Może dzie ocenianie zachowania. Znamy się świetnie, prawie „na wylot", więc wiemy, jaki komu postawić stopień ze sprawowania, a tymczasem... Przy zapowiedzi wychowawcy, że sami decydować będziemy o owych stopniach, słyszymy równocześnie: „Ja i tak te oceny przemieniam." No więc po co te pozory demokracji?

Inny przykład. Chemii mamy 3 godziny w tygodniu i w dodatku jeden dzień po drugim. Zdarzyło się tak, że we wtorek p. prof. zgotowała nam kartkówkę trwającą prawie 40 minut. Następnego dnia zaś czekał nas test (30 pytań i 45 minut czasu). Test to klasówka, więc należy go zapowiadać przynajmniej kilka dni wcześniej, ale na chemii my jesteśmy pozbawieni praw wynikających z Kodeksu Ucznia. Pisaliśmy więc nawet bez słowa protestu.

Potem problem ten podnieśliśmy na godzinie wychowawczej. Profesorka powiedziała, że pomyśli, że zobaczy, że... Mogliśmy być pewni, że sprawa nie ujrzy nigdy słońca, my zostaliśmy na lodzie.

Jeszcze raz okazało się, kto posiada faktyczną i niepodzielną władzę nad uczniami. Dziękujemy bardzo: samorządność, demokracja, Kodeks Ucznia, nasze mgliste prawa. Samorząd Uczniowski nie posiada żadnej władzy wobec czu grona profesorskiego, a my nie mamy przykładów, na których moglibyśmy się wzorować.

Anka z Trójmiasta (lat 15):

Padło pytanie: Czy i jak SU może obronić skrzywdzonego ucznia? Gdy je przeczytałam, to się roześmiałam. U nas? Coś takiego? Bzdura. W ogóle sobie tego nie wyobrażam. To by nie przeszło. Gdy czytam o szkolnych sklepikach i innych osiągnięciach uczniów z innych szkół, to zastanawiam się nad naszą. Przecież to się płakać chce...

A więc jak to bywa w tych innych szkołach? Oto bardziej optymistyczne głosy:

Izabela Małek:

Jestem przewodniczącą Samorządu Uczniowskiego w Szkole Podstawowej im. Osadników LWP w Głisnie. Piszę do Was w imieniu wszystkich uczniów mojej szkoły, a właściwie szkółki, ponieważ uczy się w niej około 150 uczniów. Mamy małą szkołę, ale bardzo zadbaną i wyjątkowo dobrze wyposażoną.

Chciałabym Wam napisać „Jak w naszej szkole uczymy się samorządności". Zacznę od tego, co jest chyba wyjątkowo rzadko spotykane w szkołach podstawowych. Mianowicie, kilku przedstawicieli Samorządu uczestniczy w Radach Pedagogicznych i na równi z nauczycielami ocenia zachowanie uczniów. Właściwie ta ocena ze sprawowania zależy od nas. Wcześniej jednak na ogólnych zebraniach Samorządu sami siebie oceniamy i wywieszamy nasze propozycje ocen, tak aby każdy uczeń mógł je było nudne i nieciekawe. Staramy się sami myśleć, myśleć i myśleć, aż do momentu, gdy ktoś krzyknie: „Eureka! Mam genialny pomysł!" Następnie przewodnicząca samorządu biegnie z owym pomysłem do opiekunki SU lub do Dyrekcji, przedstawia szczegóły i czeka na decydujące słowa: „Tak, zgadzamy się" lub: „Tego nie damy rady zrealizować".

Okazuje się, że w szkole wiele można! Zaproponowaliśmy np. zorganizowanie „Konkursu zwariowanych pomysłów" (czyli „rewii" najzabawniejszych piosenek, kabaretowych programów artystycznych i strojów). Wśród członków RSU zrodziła się także myśl zorganizowania w naszej szkole kursu tańca towarzyskiego. Taki kurs daje ogromne korzyści, uczy nas nie tylko, jak należy tańczyć, ale także jak trzeba się zachować – uczy nas manier towarzyskich. Jesteśmy bardzo zadowoleni z tej formy spędzania czasu w wolne soboty. Satysfakcjonuje nas też liczenie się Dyrekcji i opiekunki SU z naszymi przedsięwzięciami. Przedstawiciele RSU uczestniczą w posiedzeniach Zespołu Wychowawczego, zabierając głos w ważnych dla uczniów sprawach.

Staramy się urozmaicać szkolne życie. Są w naszym uczniowskim kalendarzu następujące pozycje: „Dzień Pierwszego Dzwonka", „Dzień Chłopaka" (nauczyciele „oszczędzają" chłopców w dniu ich święta), „Dzień Kobiet" (tych małych i dużych). Na szkolnych korytarzach spotykamy roześmiane dziewczęta, trzymające w ręku bukiecik kwiatów lub pocieszną maskotkę. Najprzyjemniejszy i najweselszy w roku szkolnym jest „Dzień Samorządności" (1. IV) – prawdziwa „frajda", okazja do świetnej zabawy z nauczycielami. Na uroczystym apelu „egzaminujemy" nauczycieli ze znajomości uczniów i naszej szkoły. Samodzielnie prowadzimy lekcje, sprawujemy (z umiarem!) władzę w szkole.

Siódmy dzień każdego miesiąca jest „Dniem bez dwói", a ostatni piątek miesiąca jest „Dniem Kolorowym", kiedy to przychodzimy do szkoły ubrani kolorowo. Niezwykle uroczyście świętujemy Dzień Patrona, wybitnego Polaka, rodaka krośnieńskiej ziemi – Władysława Gomułki.

Wszystkie te niecodzienne uroczystości organizujemy w myśl zasady: „Dla chcącego nie ma nic trudnego". Dzięki temu w naszej szkole nie jest nudno, a my bawiąc się uczymy się koleżeństwa, pogłębiamy więzi z Dyrekcją, nauczycielami, wychowawcami. Uczymy się samorządności.

Na koniec jeszcze jeden głos o „antysamorządzie".

Meluzyna ze Szczecina:

Wahałam się bardzo, czy napisać. Bo tak naprawdę, to o czym? Co to znaczy samorząd? W klasie nie działa on praktycznie wcale. Gospodarz pełni funkcję „nosiciela" dziennika i poza tym nic go więcej nie obchodzi i nie interesuje. Samorząd klasowy

SU – w następnych numerach

jest to zasługą opiekunki SU, p. M. Chłopek, ale pewnie wszystkich nauczycieli, którzy szanują i popierają samorządne inicjatywy młodzieży.
Nie jest to niestety powszechna w naszych szkołach postawa, o czym świadczą następne listy.

Andrzej z Kutna (lat 12):
Jestem uczniem VI klasy szkoły podstawowej. Z mego doświadczenia wynika, że uczniowie w klasie, w szkole właściwie niczym nie rządzą.
Samorząd klasy sprawdza czystość, posiadanie tarcz, zbiera pieniądze składkowe, „lata" po mieście i stara się kupić nauczycielce na imieniny jakieś tanie i ładne kwiaty, by nie wstydzić się ich później wręczyć. Nieraz tylko występuje w imieniu uczniów z jakimiś propozycjami lub prośbami, które rzadko są spełniane.
Raz w roku odbywa się spotkanie całego Samorządu z dyrektorem. Wtedy rzeczywiście można rozwiązać jakieś sprawy dotyczące całej klasy lub szkoły. Ale takie zebranie raz w roku to chyba mało? Jeśliby zapytać o to dyrekcję, to ona by na pewno odpowiedziała, żeby z ważnymi dla nas, różnymi sprawami zwracać się do niej. Lecz czy nie zlekceważyłaby wielu takich spraw? Bo tak często bywa, że sprawy ważne dla nastolatków są „głupimi" błahostkami dla dorosłych.
Dlatego uważam, że Samorząd Szkolny jest tylko w pewnym sensie demokracją, taką „na niby". Przecież prawie we wszystkich, dotyczących szkoły sprawach decydują nauczyciele wraz z dyrektorem!
Od czasu do czasu zdarzają się przypadki, gdy jakiś uczeń uważa się za skrzywdzonego. Jeśli jest np. posądzony o to, że podczas dyżuru w szatni przecinał żyletką palta, wtedy taką sprawę może rozpatrzyć samorządowy sąd uczniowski. Ale jeśli otrzyma niesprawiedliwie jakąś ocenę, np. dwójkę z zachowania, nie może się już nigdzie odwołać, nauczyciele go „przyciszą" w odpowiedni sposób i jeszcze pogrożą, jeśli zaprotestuje.
Osobiście jestem za Samorządem Uczniowskim w szkole, ale za takim, który miałby chociaż minimum samodzielności!

Beata z woj. częstochowskiego (lat 16):
Niestety... ani my nie garniemy się do ładowania na swe barki obowiązków związanych z pełnieniem funkcji np. w radach klasowych, ani wychowawcy nie przykładają do tego większej wagi.
Pytanie: „Jak w naszej szkole uczymy się samorządności?" pozostaje więc raczej bez odpowiedzi. Mogę jednak odpowiedzieć na pytanie inne: „W jaki sposób tłumi się umiejętności związane z kierowaniem np. życiem klasy?" Przykładem ograniczania zakresu działania nas, uczniów, w szkole niech będą:
Nasz samorząd tak naprawdę nie rządzi w naszej szkole, nie ma żadnej swobody. Nasz opiekun wyszukuje przeszkody i różne dziwne trudności w realizowaniu zwykłych rzeczy. Zebranie „samorządu" wygląda tak, że zbiera się około 50 osób, dwie z nich starają się coś zaproponować, a nasz opiekun sceptycznie kręci głową, potem pyta, czy mamy jeszcze jakieś sprawy... i zebranie się kończy. Razi mnie też, z jaką obojętnością większość osób siedzi na zebraniu. Zero inicjatywy!

Fot. Włodzimierz Barchacz

Samorządowcy ze Szkoły Podstawowej nr 14 w Krośnie:
„Steruje" nami osoba doświadczona, która zna potrzeby i dążenia młodzieży. Nasza opiekunka, pani Helena Szwast, stara się o to, abyśmy naprawdę brali czynny udział w życiu szkoły, aby to życie nie zobaczyć i ewentualnie domagać się uzasadnienia. Bierzemy również udział w spotkaniach z rodzicami z Komitetu Rodzicielskiego. To niewątpliwie największy plus naszej działalności. Czujemy satysfakcję, że Dorośli traktują nas jednak poważnie.

Samorządowcy ze Szkoły Podstawowej nr 14 w Krośnie:
„Steruje" nami osoba doświadczona, która zna potrzeby i dążenia młodzieży. Nasza opiekunka, pani Helena Szwast, stara się o to, abyśmy naprawdę brali czynny udział w życiu szkoły, aby to życie nie jest... „bo tak musi być".
Jak samorząd działa? Działa to za dużo powiedziane, raczej – co o nim słychać? A więc jest tej całej świty coś ok. 20 osób (połowa to kl. IV-V). Niedawno wywieszono planszę ze zdjęciami działaczy SU, a że główniejsze funkcje piastują dziewczyny z kl. VIII, ich wielbiciele powyrywali w tym samym dniu zdjęcia z twarzami sympatii; bez dedykacji... ale zawsze to pamiątka: Tak więc wisiały wyłącznie zdjęcia maluchów. Ktoś „pomysłowy" pociął kartkę, inny „trochę" podpalił, tak że w końcu SU wylądował w śmieciach. I to wszystko.

DALSZY CIĄG debaty o

PATRYCJA

wraz z „Płomykiem" ogłasza

WIOSENNY KONKURS

dla redaktorów i czytelników gazetek szkolnych

NA ZABAWNĄ RYMOWANKĘ

stanowiącą podpis-komentarz do naszego plakatu

1. Kol. REDAKTORZY GAZETEK SZKOLNYCH proszeni są o wywieszenie tego plakatu w szkole, w miejscu dobrze widocznym, i zachęcenie Koleżanek i Kolegów, aby wraz z pierwszym powiewem kalendarzowej wiosny wyczuli głęboką myśl zawartą w rysunku i dali temu wyraz, układając wesołe podpisy-rymowanki.
2. NAJLEPSZE PODPISY wybierze Kolegium Redakcyjne gazetki szkolnej i prześle do „Płomyka" przed końcem kwietnia.
3. NAJLEPSZE z NAJLEPSZYCH wybierze „Płomyk" wraz z Patrycją, która dla najdowcipniejszych „rymarzy" obiecuje NAGRODY.
4. Objętość rymowanek dowolna: od dwuwiersza – do... poematu!

INK 6
10 FOR y=Ø TO 21
12 PRINT AT y, 7; "■"
14 NEXT y
15 INK 4
18 FOR x=Ø TO 14
20 PRINT AT 19, x; "■"
22 NEXT x
24 FOR x=1 TO 13
26 PRINT AT 15, x; "■"
28 NEXT x
30 FOR x=2 TO 12
32 PRINT AT 11, x; "■"
34 NEXT x
36 FOR x=4 TO 1Ø
PRINT AT 7, x; "■"

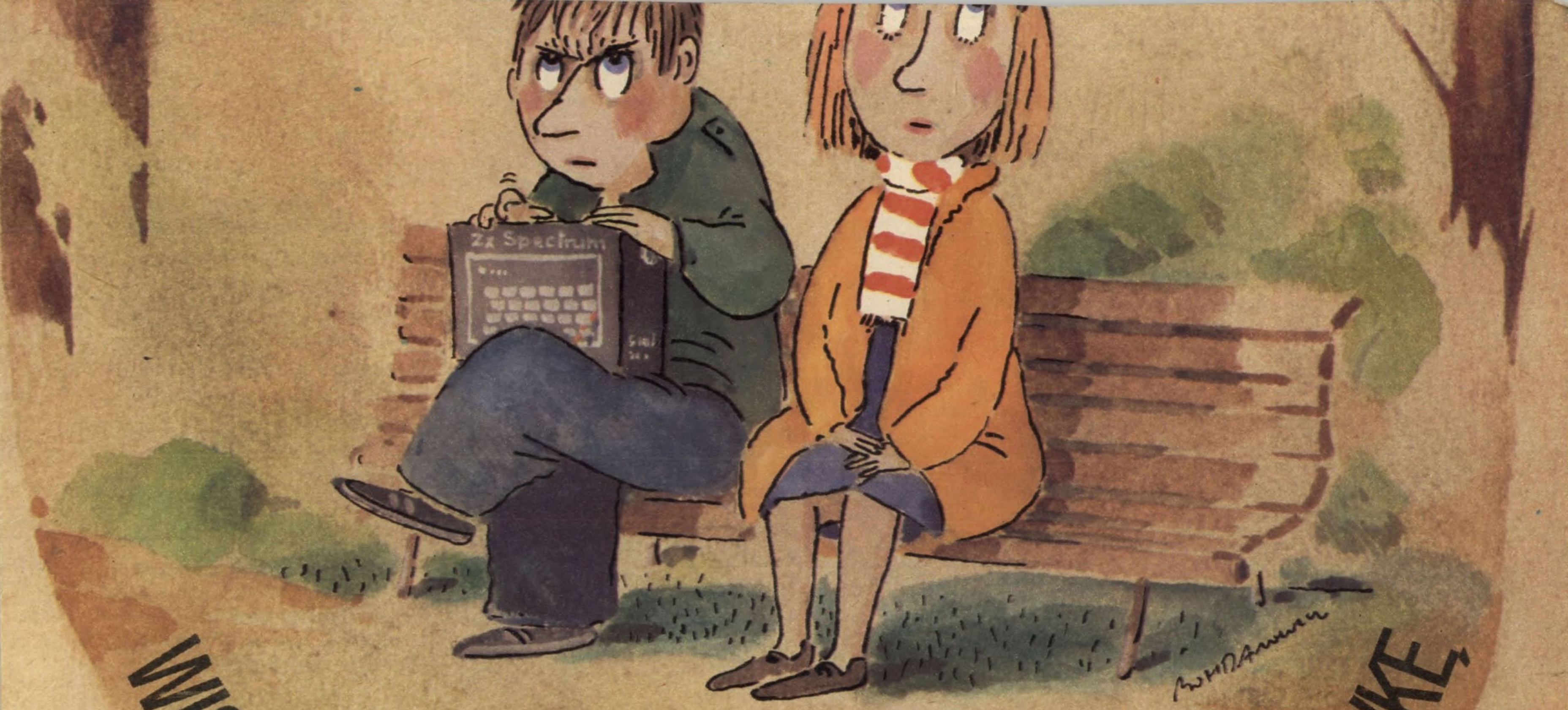

WIOSENNY KONKURS na ZABAWNĄ RYMOWANKĘ

PŁOMYK

Rys. JULIAN BOHDANOWICZ

– Mnie też – wyznał Frycz. – Lunatyk dał się lubić, to fakt. Przy nim nie było nudno. Nigdy nie było wiadomo, co zrobi. Zaskakiwał.

– Tak, szkoda by było, gdyby odszedł.

– Na pewno przyszedłby gorszy.

– Nie nadający się do obserwacji. – Frycz odruchowo pomacał lornetkę. – Takich jak Babul jest coraz mniej. Wiesz, co ja myślę, Radek, ty jednak powinieneś być na tym balu. Naprawdę byłoby lepiej, jakbyś tam był...

– Ja?! Po co? – Radek nastroszył się.

– Żeby to kontrolować.

– Co niby?

– No, tę całą głupią imprezę. Tak na wszelki wypadek...Żeby...

– Żeby co?

– Żeby nie było za dużo rozróby, żeby zmieściło się w normie, żeby nie było kompromitacji, żeby Babul zachował twarz...

– I żeby inspektor to jakoś przełknął? – dokończył Radek.

– Dokładnie tak. Widzę, że zaczynasz kapować.

Radek milczał przez chwilę.

– Ale dlaczego ja? – zapytał Radek marszcząc brwi.

– Bo ciebie się boją. Umiesz studzić chłopaków... Wielu już ostudziłeś. Nie ma takiego w budzie, który by ci się śmiał sprzeciwić.

– Jest. Barabasz – mruknął ponuro Radek.

– Zapomniałeś o meczu. Barabasz jest maniakiem piłki. Takiej okazji nie opuści.

– Myślisz, że on...

– On gwiżdże na bal. Założę się, że już teraz koczuje ze swoją paczką pod stadionem. Chyba wiesz, że łobuz ma tam dobre układy z Klubem. Wpuszczają ich bez biletów, przed każdym meczem, niby do porządkowania boiska...

– Ja też chcę być na tym meczu. Nie będę się pętał po szkole i patrzył na żałosne podrygi smarkaczy, kiedy nasi będą walczyć z Widzewem. Barabasz pękłby ze śmiechu! Chcesz, żebym się ośmieszył przed całym miastem?

– Pomyśl o Lunatyku...

– Dajże spokój...

– On ciebie bronił wtedy, jak uciekły te żaby i węże z terrarium i wszystko było przeciwko tobie – przypomniał Frycz.

– Nie prosiłem go o to! – warknął Radek.

– Jasne. Ale upiekło ci się wtedy. Gdyby nie Babul...

– Nikt mi nie zrobił łaski. To nie ja wypuściłem te ropuchy, to nie ja włożyłem do teczki Zajsowej... padalca. Jak chcesz, idź sam. Wiem, że lubisz obserwować. Tylko, że tam nie będzie nic do obserwacji. W tym roku zanosi się na rekordową nudę. Przede wszystkim dlatego, że żaden szanujący się Ćwir na ten żałosny kinderbal nie przyjdzie.

Ćwirami w budzie Kantaka nazywano równych chłopaków ze starszch klas trzymających za to fason i specjalny szpan, nie przejmujących się zbytnio nauką. Nazwa pochodziła od niejakiego Wróblaka, który w zamierzchłych latach pięćdziesiątych stworzył w tejże szkole zażyłą, wesołą paczkę. Wsławiła się ona urządzaniem popisowych numerów na lekcjach i na przerwach, dając się poważnie we znaki ówczesnemu personelowi szkolnemu. Lizusi przezwali członków tej paczki Ćwirami. Nazwa się szybko przyjęła, lecz straciła swoje pierwotne szydercze znaczenie i stała się synonimem wszelkich cnót koleżeńskich.

– Nie przyjdzie żaden Ćwir – powtórzył Radek. – Więc jak się coś może wydarzyć. Dyżurny gog nie będzie miał nic do roboty. Z kim gadałem, każdy zarzekał się, że nie przyjdzie. Barabasz nie przyjdzie – z nim zawsze było najwięcej kłopotu. Więc nie ma sprawy. Nawet dziewczyny nie przyjdą. Nie

spodobało im się, że nie wolno nikogo zaprosić spoza naszej klasy... Więc policz, kto w końcu przyjdzie, chłopie. Parę potulnych srok, Niewinkiewicz i dwu innych lizusów...

– I, przyjdzie Elek – rozległ się głos od progu.

W drzwiach ociekając deszczem stał Leszek Putyfar, pełnomocnik samorządu do spraw balu.

– Elek? Wykluczone – wykrzyknął Paweł. – On ma bilet na dzisiejszy mecz! Pokazywał. Sam widziałem.

– Pokazywał, żeby się drażnić z dziewczynami – powiedział Leszek, ściągając z ramion wiatrówkę. – Wiecie, jaki to zgrywus. Więc te idiotki zaczęły go prosić i błagać, dosłownie wieszały mu się na szyi, żeby został z nimi i raczył zaszczycić ten bal. On niby droczył się i opierał, ale w końcu dał się łaskawie uprosić i na oczach wszystkich podarł uroczyście ten bilet, oczywiście zrobiło to wielkie wrażenie i wywołało okrzyki zachwytu i uwielbienia. Elek promieniał, a potem zabrał ten cały swój harem na lody. Rzecz jasna wszystko było ukartowane. Ten bilet to nie był bilet na mecz, to był podobny z wyglądu bilet do muzeum za jeden złoty.

– Tak myślałem... Bezczelny kabotyn! – Radek skrzywił się z najwyższym niesmakiem.

– Ale do rzeczy, panowie – Leszek zmienił ton. – Gdzie te girlandy? O drugiej miały już wisieć w sali...

W zasadzie mamy gotowe, ale jeszcze kleimy lampiony...

– Do diabła, pośpieszcie się. Zajsowa powiedziała, że zaraz po naradzie wstąpi skontrolować i zaakceptować...

Urwał, bo na dworze rozległy się śmiechy-chichy.

Dekoratorzy rzucili się do okna. Rozpadało się na dobre i wiatr zaczął podmuchiwać. Dopiero teraz widać było jak nierówna jest ulica przed szkołą. Dziesiątki kałuż połyskiwało metalicznie, a rów, który został po niedawnych wykopkach był po brzegi zalany wodą. Białe kartki papieru, uniesione wiatrem ze śmietników, wirowały szaleńczo w powietrzu, by po chwili nagle opaść na kałuże jak mewy. A w tej raczej niezwykłej scenerii dziesiątka dziewcząt pokładała się ze śmiechu. Zaraz nie sposób było się zorientować, co je tak rozśmiesza... Dopiero po chwili chłopcy zauważyli rosłą sylwetkę Elka w charakterystycznej żółtej, sportowej wiatrówce z bardzo spiczastym kapturem. Demonstrując zadziwiającą kondycję przenosił przez ów rów z wodą ciężką Bachmacką, największą i najgrubszą dziewczynę z całej klasy. A potem jeszcze raz wrócił po jej rozklapany pantofel, który został w lepkim błocie. Bachmacka się śmiała, Elek się śmiał i wszystkim było bardzo wesoło.

Radek przyglądał się pogardliwie tej scenie, ale powstrzymał się od komentarzy. Elek Cedro był klasowym idolem dziewcząt i milcząco wszyscy się z tym pogodzili. Typ funkcjonował na specjalnych prawach. Mógł bezkarnie rozdawać na lewo i prawo słodkawe uśmiechy, przewracać te swoje migdałowe ślepka i zgrywać się na podrywacza. Mógł, o zgrozo, podnieść z podłogi upuszczony przez dziewczynę zeszyt i wręczyć jej z wykwintnym ukłonem, mógł nawet spacerować po korytarzach pod rękę z dwiema dziewczynami naraz i nikogo to już nie raziło. Miał na to patent. Patent idola. Zresztą robił to wszystko naturalnie, z niewątpliwym wdziękiem i z uśmiechem na twarzy, jakby bawiła go ta rola i jakby dawał wszystkim do zrozumienia, że to przecież tylko zabawa.

Ale rzecz jasna Elek w pojęciu Ćwirów nie był „prawdziwym mężczyzną". Patrzyli na niego z pobłażliwością, jak na kogoś w rodzaju błazna klasowego i zaledwie tolerowali. Prawdziwi mężczyźni u Kantaka trzymali bowiem bezsprzeczny dystans do żeńskiej połowy klasy i żywili wzgardę dla tego rodzaju słabości, jaką przejawiał Elek. Do dobrego natomiast fasonu należało okazywać koleżankom ostentacyjne lekceważenie i zupełny brak zainteresowania.

To też to, co się stało za chwilę, napełniło Radka największą goryczą i wzburzyło w najwyższym stopniu.

Korzystając z jego chwilowego zagapienia, podochoceni widokiem z okna, rzucili się do drzwi dekoratorzy z girlandami w rękach.

– Stać! – krzyknął za nimi zaskoczony, ale oni byli już na schodach. Po chwili ukazali się na ulicy. Wywijając girlandami jak lassami zaczęli gonić piszczące dziewczęta, nie zważając na deszcz i kałuże.

NA PRZEJAŻDŻKĘ PO ZATOCE

Nie wiem, czy jest coś przyjemniejszego, niż pędzić motorówką po rozkołysanych falach. Jest tylko słońce, wiatr i pęd łodzi, która na przemian to zapada się w głębokie bruzdy wody, to znów przeskakuje z fali na falę jak delfin.

Niektóre motorówki holują narciarzy trzymających mocno napiętą linę. Pozornie wydaje się, że narty wodne są sportem zupełnie bezpiecznym. Nie to co narty na śniegu. Stracenie równowagi nie grozi złamaniem kończyn ani rozbiciem się. Po prostu wpada się do wody, odczepione narty pozostają na powierzchni i trzeba dopłynąć do łodzi, aby móc startować na nowo. A jednak nieumiejętnie trzymana lina może spowodować otarcia, a nawet okaleczenia nóg, przy upadku do wody grozi też najechanie przez którąś z motorówek. Poza tym jest to drogi sport – wynajęcie łodzi dużo kosztuje.

Kto szuka spokoju, może wolno krążyć łodzią wzdłuż licznych zatok urwistego wybrzeża. Jest tu naprawdę pięknie. Krystaliczna woda ma odcień prześwietlonej słońcem zieleni. Wysoko na skałach wznoszą się białe wille, ogrody schodzą bujną, tropikalną roślinnością aż do plaż, przeważnie prywatnych, wydzielonych, na które właściciele willi, najczęściej znani aktorzy, sławni malarze i inni bardzo bogaci ludzie, schodzą wykutymi w skale schodami.

Mijamy rybaków łowiących małże. Pozdrawiają nas machaniem swoich słomianych sombreros, chociaż się nie znamy. Pewnie chcą znaleźć klientów na swój połów. Mają również małe, bardzo kwaśne cytryny. Amatorzy morskich przysmaków kupują od nich całe wiadra i robią sobie ucztę wprost na plaży. Na mokrych kamieniach układa się muszle i kolejno rozcina ostrym scyzorykiem. Teraz małże trzeba skropić cytryną i połknąć. Podobno smakują wybornie. Ja nie próbowałam. Wystarczył mi sam ich widok...

WSZYSTKO DLA TURYSTÓW

Jedną z szeroko reklamowanych atrakcji Acapulco jest La Quebrada – urwisko schodzące pionowymi ścianami w morze. Na tarasach, wykutych w litej skale, mieszczą się liczne restauracje i lokale nocne. Gwar rozmów miesza się z nastrojową muzyką i szumem fal. Punktualnie o dziesiątej gasną wszystkie światła, milkną rozmowy, instrumenty perkusyjne rozpoczynają głośny „tusz" zapowiadający jedyne w swoim rodzaju widowisko.

W czerń nocy wpada ostry snop światła włączonego reflektora. Omiata skały raz i drugi, wreszcie oświetla dwóch chłopców. Mogą mieć po jakieś piętnaście lat. Pierwszy trzyma zapaloną pochodnię, drugi ma narzuconą na plecy czerwoną długą pelerynę. Widać, jak wspinają się wolno.

Co noc atrakcją nocnych lokali są skoki chłopców do morza. Ba, żeby to do otwartego oceanu, ale chłopcy skaczą w wąski przesmyk dzielący dwie, leżące naprzeciwko siebie skały. Przestrzeń wody ma tu zaledwie kilka metrów szerokości. Trzeba więc dobrze wyliczyć skok, aby nie roztrzaskać się o skały. Ta skalna trampolina ma przeszło dwadzieścia metrów wysokości.

Kiedy chłopcy podchodzili do szczytu, czułam, że serce bije mi coraz mocniej. Chłopcy stają na górze. Pierwszy podnosi zapaloną pochodnię, ustawia się do skoku na samej krawędzi. Już! Ciało zatoczyło łuk, sekunda i pochodnia z sykiem gaśnie w wodzie... Teraz drugi. Czerwona, umocowana do dłoni peleryna wygląda w powietrzu jak purpurowy nietoperz. Potem chłopcy podchodzą kolejno do stolików, aby zbierać datki za swój wyczyn...

Acapulco żyje i rozwija się dzięki turystyce. Jej organizatorzy dostarczają więc rozlicznych i przynoszących dochód imprez. Jedną z nich jest urządzany co roku w grudniu międzynarodowy pokaz filmów, już nagrodzonych na innych festiwalach.

Do wyświetlania filmów, na wolnym powietrzu, przysposobiony został fort San Diego. Osiemnaście starych ciężkich dział, jakie czterysta lat temu nabył wice-

Niebezpieczne skoki do wody – widowisko urządzane ku uciesze bogatych turystów

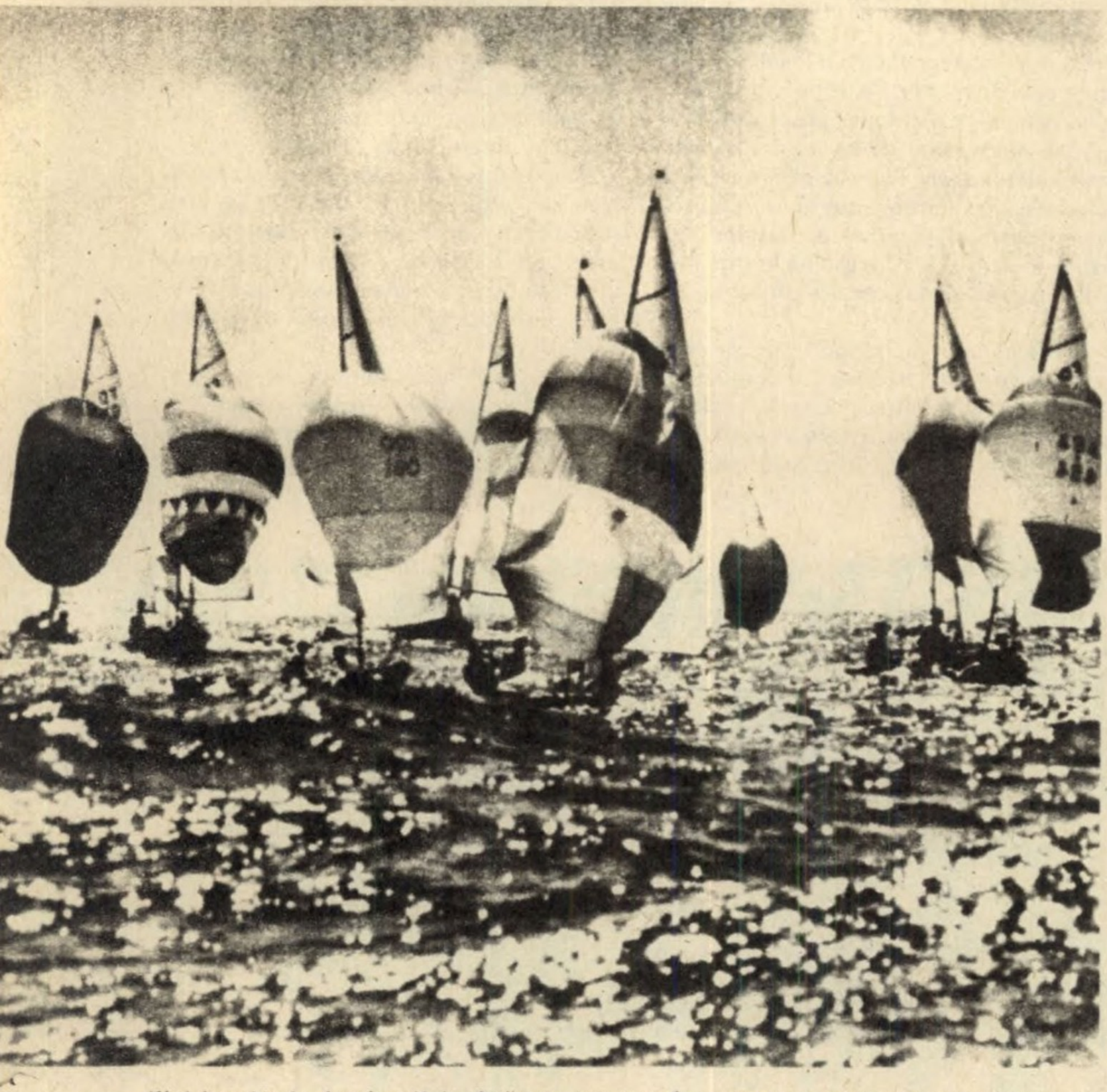

Wyścig w klasie „Latający Holender" rozgrywany w Acapulco w czasie igrzysk olimpijskich

król hiszpański don Rodrigo Pacheco, już nie strzeże miasta przed piratami – służą turystyce, jak prawie wszystko w Acapulco. Przez tydzień trwającego festiwalu, każdego wieczoru droga do fortu oświetlana jest łuczywem, strome podejście, brukowane kocimi łbami, przypomina czasy kolonii, żołnierzy hiszpańskich i podkute kopyta ich wierzchowców.

Pamiętam, że w tej właśnie scenerii oglądałam słynny film radziecki „Lecą żurawie". Pożoga wojny z całym swoim okrucieństwem wtargnęła w tropikalny krajobraz. Zestawienie wspaniałej przyrody i otaczającego luksusu z wojennym dramatem było dla mnie czymś wstrząsającym...

NAD ZATOKĄ

Aby podziwiać zachody słońca, jeździ się w Acapulco nad zatokę zwaną Pie de la Cuesta (Podnóże Zbocza). Droga wspina się na zbocza nierównego terenu. Tu kończy się zieleń. Wspaniałe ogrody i pachnące krzewy zostały tam, gdzie nie szczędzi im się słodkiej wody do podlewania. Tu natomiast wodę nosi się z dołu w bańkach po oliwie. Krzywe ranchos, chruściane chaty, zaduch smażonych ryb i uryny unosi się z waskich, nie brukowanych uliczek, po których uganiają się całe gromady półnagich, czarnych dzieci. Stanowiąca tylko jeden procent czarna ludność Meksyku osiadła na wybrzeżach obydwu oceanów i pozostała tam, gdzie w okresie handlu niewolnikami przywieziono ich przodków z Afryki. Obwarowany wówczas fort San Diego przez wiele lat służył jako punkt przeładunkowy – stąd trudno było niewolnikom uciec.

Zjeżdżamy na nadmorską, piaszczystą drogę, ciągnącą się wzdłuż zatoki nad otwartym Oceanem Spokojnym. Dziką plażę porastają nieliczne palmy kokosowe. Pod dachami krytymi ostrą trawą widać ustawione dla turystów krzesła. Na drogę wyskakują przed samochody dzieciaki, wymachując czerwonymi szmatami przywiązanymi do wysokich żerdzi.

– Tutaj! Tutaj! Stąd najlepiej widać zachód słońca! – wykrzykują – choć wszystkie przecież miejsca są jednakowe, zwrócone w stronę oceanu.

Dochodzi szósta. Słońce jak ogarnięte pożogą zwisa nisko nad linią horyzontu. Rzeczywiście, widok wspaniały. Wkrótce jednak plaża szarzeje, porywisty wiatr podnosi wiry miałkiego piasku. Myślałam, że w tej zatoce nikt się nie kąpie. Przy takich falach dochodzących do kilkunastu metrów! A tymczasem do wody zaczęli wchodzić miejscowi pływacy. Nurkując pod te piętrowe fale wysunęli się daleko w głąb oceanu i rozpoczęli niemal rybie ewolucje, nie dając się pochłonąć białej kipieli... Wszystko oczywiście na użytek turystów, dla zarobku.

Zwiedzamy jeszcze malownicze wybrzeże, usiane licznymi wysepkami. Należy do nich popularna Roqueta. Dociera się tam w niecałą godzinę dużą motorówką zabierającą około dwudziestu osób. Łodzie czekają na komplet pasażerów i trzeba do nich dojść po płytkiej wodzie zatoki Caleta.

Trafiliśmy właśnie na łódź „młodzieżową". Znalazły się oczywiście gitary i perkusja, marakasy – instrumenty wykonane z wydrążonych tykw napełnionych ryżem i dwa kawałki specjalnie twardego drzewa. Potrącane o siebie drewienka wydają odgłosy przypominające kumkanie żab. No i naturalnie zaczął się koncert. Wystarczy, aby ktoś szarpnął struny gitary, ktoś inny zaśpiewał i młodzi ciemnolicy Meksykanie zaraz zaczynają wystukiwać obcasami swoje trudne zapateados czy skoczne bambas. Tak było i tutaj.

– Ludzie! Łódź mi chcecie zatopić? Nie widzicie, że tam jest szklane dno? – protestował właściciel łajby.

Dla uatrakcyjnienia wycieczek niektóre łodzie mają w dnie jakby okna, przez które można obserwować podwodny świat. Płynąc na Roqueta okrąża się wyspę od strony, gdzie podwodne góry bliskie są powierzchni, a w ich wąwozach i urwiskach aż roi się od wszelkiego rodzaju stworzeń. Granatowe ryby w złote pasy poruszają lekko skrzelami stojąc niemal w miejscu, całe ławice płaskich, różowawych rybek uwijają się między rozfalowanymi łąkami podwodnych roślin.

Te ciepłe wody pełne są nie tylko pięknych ryb, ale również i drapieżnych rekinów. Klub Rybacki nieustannie organizuje konkursy na ich łowienie. Każdego ranka można zobaczyć wywieszone, jak na szubienicy, co większe, nagrodzone sztuki. Miejscowi rybacy boją się również płaszczki nazywanej manta raya. Opowiadają, że nie tylko potrafi porazić jadowitym kolcem ogona, lecz również swoim rozfalowanym „płaszczem" tak długo wachluje napotkanego w wodzie człowieka, aż go zatopi, w przeciwieństwie do delfinów, które pomagają ludziom dopłynąć do brzegu.

Czas pożegnać Acapulco. Jeszcze tylko ostatnia wyprawa wzdłuż zatok. Przedświt wstał zamglony, mlecznoszary. Kto nie zna Acapulco, mógłby przypuszczać, że dzień będzie pochmurny. Ale poranne zamglenia szybko znikają bez śladu. Rozpoczyna się jeszcze jeden piękny dzień, jakich w Acapulco przypada 350 w ciągu roku. Ocean kołysze długą, prześwietloną słońcem falą. Perła Pacyfiku jawi się w całej swej niezwykłej urodzie...

ANNA SŁOWAKIEWICZ

MOJE HOBBY – to HISTORIA KOLEI

Rozmawiamy z Łukaszem Włostowskim, uczniem VI klasy, najmłodszym zbieraczem w warszawskim klubie kolekcjonerów PTTK.

Płomyk: – Dlaczego interesuje cię właśnie historia kolei?

Łukasz: – Może dlatego, że gdy byłem zupełnie mały, to chodziłem z mamą na spacery wzdłuż torów. Obserwowałem przejeżdżające pociągi, zaglądałem przez okna do przedziałów i myślałem o ludziach, którzy jechali gdzieś daleko. Chyba im zazdrościłem. Oszałamiała mnie także siła pociągów. Widziałem wagony towarowe załadowane ogromnymi dźwigami, spychaczami. Maszyniści wyglądali przez okna i ja bardzo chciałem być na ich miejscu.

Płomyk: – Pociągi mogą pobudzać wyobraźnię. Akcja wielu powieści, filmów rozgrywa się właśnie w jakimś „Orient Ekspresie" czy „Strzale Dzikiego Zachodu".

Łukasz: – Bardzo lubię westerny, które rozpoczynają się od napadu na samotnie pędzący pociąg. W wagonie pocztowym jakiś dzielny szeryf wiezie bardzo cenną przesyłkę. Dalej już nie muszę opowiadać, wszyscy wiedzą, co się zaraz stanie...

Płomyk: – Ale pociągi jakby wyszły z mody. Wszyscy twoi koledzy zapewne interesują się raczej szybkimi samochodami wyścigowymi.

Łukasz: – Tak naprawdę to jeszcze modniejsza jest elektronika. W samochodach nie ma według mnie żadnej romantyki. Po prostu człowiek przemieszcza się z miejsca na miejsce i tyle. A pociągiem to się naprawdę podróżuje. Można stanąć w oknie i patrzeć na zmieniający się krajobraz, można porozmawiać z przygodnymi pasażerami, przejść się po korytarzu. To niejaki pan Pullman był pionierem wygodnej podróży.

Płomyk: – Co wymyślił?

Łukasz: – Wagony sypialne, salonki, wagony z osobnymi przedziałami i podłużnym bocznym korytarzem. To on pierwszy na długich amerykańskich trasach wprowadził wagony restauracyjne. A wszystko to działo się ponad sto lat temu.

Płomyk: – Ale wynalazek kolei nie od razu cieszył się powodzeniem.

Łukasz: – To bardzo ciekawa historia. Lubię czytać o początkach kolei i gromadzę książki na ten temat. Gdy wybudowano pierwszą linię kolejową, bardzo poważni ludzie ostrzegali, że nadnaturalna prędkość pociągu wywoła bez wątpienia choroby mózgu wśród pasażerów. Uważano, że równie niebezpieczne jest samo patrzenie na pędzące potwory. I proponowano, by tory osłaniać bardzo wysokimi parkanami.

Płomyk: – To wydaje się dzisiaj zabawne, ale przecież wiadomo, że parlament brytyjski długo debatował, zanim pozwolił Stephensonowi na uruchomienie połączenia między Manchesterem i Liverpoolem.

Łukasz: – Zadawano mu na przykład pytania w rodzaju: „A co się stanie, jeśli na torze pojawi się krowa? Czy nie byłaby to nader niefortunna okoliczność?" „Byłaby – odpowiedział Stephenson – ale dla krowy". A przecież „Rakieta" Stephensona „pędziła" z prędkością zaledwie 40 kilometrów na godzinę!

Płomyk: – W porównaniu z dyliżansem była to spora prędkość.

Łukasz: – Obawiano się tych żelaznych, buchających dymem smoków. Pytano konstruktorów, co będzie z zanieczyszczeniem atmosfery.

Płomyk: – Proszę, to już wtedy był ruch na rzecz ochrony środowiska...

Łukasz: – O ile wiem, te ataki szły ze strony właścicieli dyliżansów i parostatków. Była to obawa przed konkurencją. Ale konkurencja zwyciężyła. Chociaż podróż koleją, muszę to powiedzieć, nie była taka zupełnie bezpieczna. Czasem te kotły lokomotywy wybuchały, zaprószały ogień, no i kiepsko hamowały.

Płomyk: – W każdym wagonie siedział hamulcowy i pociągał za odpowiednie drążki?

Łukasz: – Tak, maszynista na widok przeszkody dawał sygnał, a hamulcowi jednocześnie obracali koła hamulców ręcznych. Hamulce na sprężone powietrze pojawiły się później. Wymyślił je pewien 20-letni Amerykanin. Wtedy kolej zrobiła się bezpieczniejsza.

Płomyk: – Stephenson też był młody, gdy wymyślił swoją „Rakietę".

Łukasz: – Wiem, że nie chodził do żadnej szkoły i długo nie umiał ani pisać, ani czytać. Zajął się parowozami, ponieważ jego ojciec był palaczem maszyn parowych. Stephenson tę maszynę parową udoskonalił i wygrał konkurs z taką na przykład maszyną, która nazwała się „Łapcie mnie, kto może" oczywiście, po angielsku.

Płomyk: – Tak się naprawdę nazywał parowóz?

Łukasz: – Konstruktor miał chyba poczucie humoru, albo znał się na reklamie. Ale nazwa „Rakieta" nie była gorsza!

Płomyk: – Czy masz w swojej kolekcji miniatury tych pierwszych parowozów?

Łukasz: – Niewiele, ale trochę mam. To są, niestety, bardzo kosztowne zabawki. Gdy się pojawią w składnicach harcerskich, znikają w ciągu kilku godzin.

Płomyk: – A na giełdach kolekcjonerów?

Łukasz: – Są, oczywiście, że są, ale już o wiele droższe. Na ostatniej giełdzie bardzo mi się podobała jedna lokomotywa, ale kosztowała kilka tysięcy złotych. Musiałem zrezygnować.

Płomyk: – Co jeszcze zbierasz?

Łukasz: – Wszystko, co ma związek z kolejami. Tu mam bilety przewozowe. Najstarszy wydany przez austriackie koleje państwowe pochodzi z 1913 r. Mam starą naftową lampę kolejową, którą przymocowywano do lokomotywy. Tę zabytkową lampę kupił mi tata od dróżnika. Mam dużo pocztówek przedstawiających lokomotywy, wagony, dworce kolejowe. Zbieram znaczki o tematyce kolejowej, oczywiście też książki, fachową prasę – także starą.

Płomyk: – Co daje takie zbieranie?

Łukasz: – Świetną rozrywkę, sporo wiedzy, nie tylko zresztą o kolejach.

Płomyk: – Nie martwi cię to, że samoloty i samochody wypierają kolej?

Łukasz: – Kolej znowu zaczyna być doceniana. Pociąg może być równie szybki jak samolot, a przy tym wygodniejszy. Poduszkowce mogą rozwijać prędkość ok. 500 kilometrów.

Płomyk: – Czym się jeszcze interesujesz?

Łukasz: – Gdy byłem młodszy, pisywałem nastrojowe wiersze. Teraz lubię fizykę, trochę zajmuję się elektroniką. Mam już prawie cały telewizor. Na razie w kawałkach...

Rozmawiała JOANNA MŁYNARCZYK
Fot. Marek Suchocki

„Halinka" na dziesięciu kołach

Członkowie koła emerytów kolejowych przy stacji PKP w Raciborzu postanowili uczcić 130-lecie uruchomienia linii wąskotorowej Racibórz–Bytom... wyremontowaniem zabytkowej lokomotywy o wdzięcznej nazwie „Halinka". Jej imię wypisano po drugiej stronie niewidocznej na zdjęciu. Odremontowana, lśniąca czystością „ciuchcia", została ustawiona przed dworcem PKP w Raciborzu. Przypomina wszystkim, jak to się dawniej jeździło. Dworcowe „muzeum pod chmurką" zyskało piękny eksponat – uratowaną przed oddaniem na złom lokomotywę. A może by i gdzie indziej znalazły się zapomniane „Halinki" oraz starzy lub młodzi miłośnicy i opiekunowie dawnej techniki?

(jt)

Fot. Bogusław Żelazny

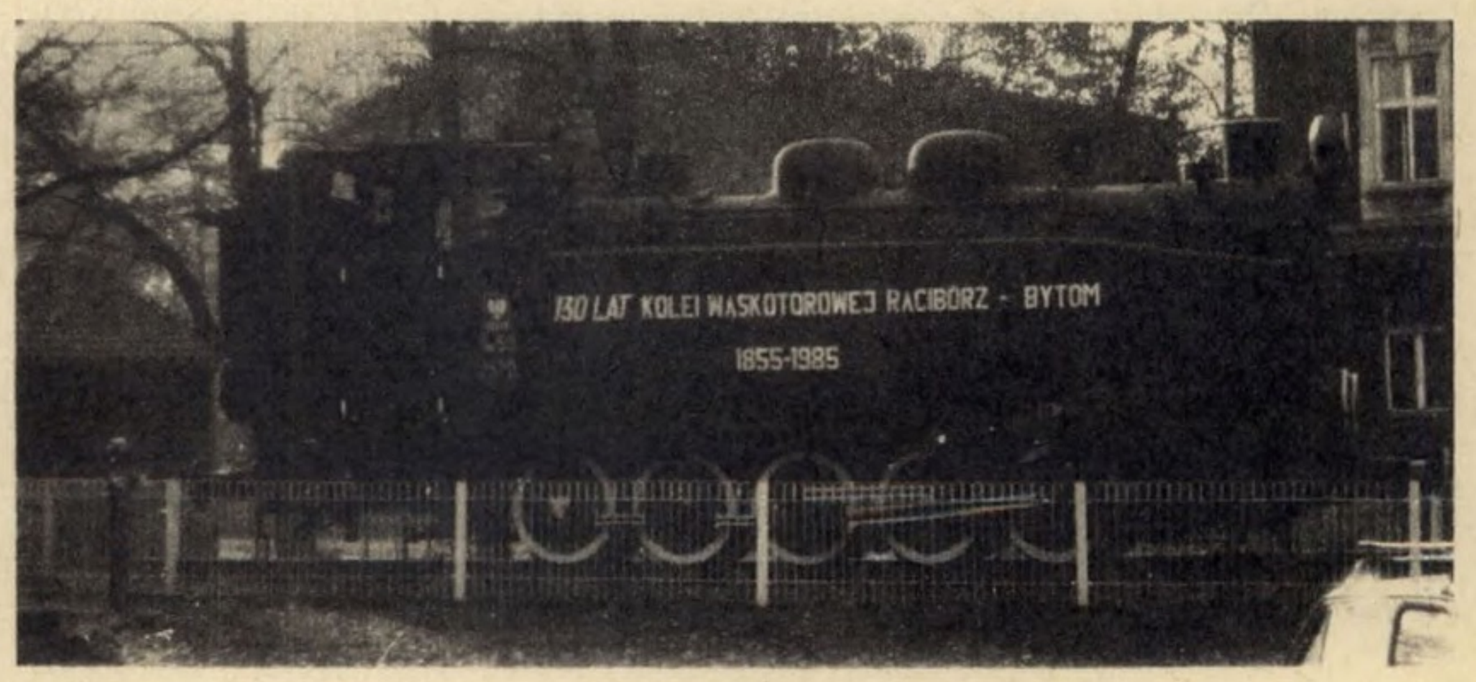

ły. Nieodłącznym elementem tych zabaw była kukła Pietruszki (Piotrka) – ludowego bohatera słynącego z mądrości i męstwa oraz... bliny – placuszki z gryczanej mąki smażone specjalnie na tę uroczystość. Zabawy trwały nieraz cały tydzień. Przebierano się w cudaczne kostiumy, urządzano tańce, różnego rodzaju popisy i cyrkowe sztuczki. Na rosyjskiej wsi pożegnanie zimy jest i dziś jednym z najweselszych i najbarwniejszych świąt.

W NRD, w okręgu Halle, przepędza się zimę już w końcu lutego... sadzami. Zachował się tam bowiem stary zwyczaj malowania na czarno spotykanych przypadkowo przechodniów. Może widok ten miał właśnie odstraszać śnieżnobiałą zimę? Nie wiadomo. W każdym razie w ostatni czwartek lutego młodzi chłopcy w przebraniach naśladujących dawnych rycerzy smarują bez litości sadzami napotkane osoby, szczególnie dziewczęta. Trzeba przyznać, że nie jest to najmilszy zwyczaj. Na pewno bardziej uciążliwy niż nasz wielkanocny śmigus-dyngus. Czego to się jednak nie robi dla zachowania tradycji! (*wk*)

WYPĘDZANIE ZIMY

Według kalendarza zima ma prawo panować aż do 21 marca, ale na ogół wszystkim marzy się, aby odeszła wcześniej. Dlatego już pod koniec lutego wypatrujemy na niebie i ziemi pierwszych sygnałów wiosny. A nasi dawni przodkowie uważali, że zimę należy po prostu przepędzić. Ślady owego przepędzania zachowały się do dziś w wielu ludowych obrzędach i obyczajach, traktowanych jako okazja do wspólnej wesołej zabawy.

Na przykład topienie Marzanny, słomianej kukły wyobrażającej nie byle kogo, bo słowiańską boginię śmierci i... zimy. Aby przyspieszyć odejście zimy i zapewnić zwycięstwo nadchodzącej wiośnie, wrzucano taką słomianą kukłę do odtajałego strumienia lub rzeki. Tak bawiły się dzieci już za czasów Jana Długosza (XV w.), któremu zawdzięczamy opis tego obyczaju.

Na dawnej Rusi zimę żegnano wesołymi zabawami urządzanymi na cześć boga Jarił-

„KUBEK W KUBEK PODOBNI DO SIEBIE" – mówi się o bliźniaczo podobnych do siebie parach – nie tylko zresztą ludzi, ale i przedmiotów. Powiedzenie to ma korzenie sięgające aż XVII wieku. Wtedy to na ucztach weselnych ofiarowywano nowożeńcom dwoisty puchar. Były to dwa identyczne puchary złączone ze sobą brzegiem i bokami. Zdobiono je bogatymi ornamentami i inicjałami młodej pary. Nowożeńcy musieli spełnić tym bliźniaczym pucharem pierwszy toast za swoje własne zdrowie i pomyślność. (*wk*)

KONFERENCYJNE MIASTO

Najróżniejsze konferencje i kongresy najczęściej odbywają się w Genewie. Statystycy obliczyli, że bywa ich w ciągu roku około 3000, a uczestniczy w nich ponad 2 miliony osób. Drugim konferencyjnym miastem na świecie jest Paryż (ok. 2500) oraz Londyn i Rzym (ok. 2000). Na dalszym miejscu znalazł się Nowy Jork i Waszyngton. 70% wszystkich międzynarodowych konferencji odbywa się w Europie. (*wk*)

ŁAPKI – CHWYTAKI

W każdym domu znajduje się sporo różnych resztek materiałów, z których można wykroić całkiem jeszcze dobre fragmenty. Wszystkie te starocie mogą się przydać do wykonania różnych pożytecznych drobiazgów.

Pokazane na rysunkach łapki-chwytaki do gorących garnków wykonane zostały z resztek kolorowych tkanin, podobnie jak dywanik łazienkowy w kształcie ryby. (*gm*)

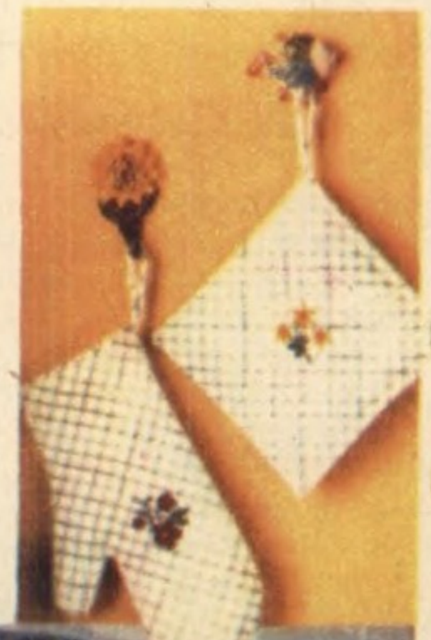

Wiemy, wiemy, ale...

Często się zdarza, że pisząc lub mówiąc, zdajemy sobie sprawę, że coś tu nie gra... Ale brniemy utartymi drogami. Oto kilka takich „żelaznych", uporczywych błędów, które stale popełniamy, choć różne poradniki językowe wciąż je wytykają. Może się uda wreszcie od nich uwolnić?...

- Swoje wypracowanie napisałem *w oparciu o artykuł* z gazety. Otóż moi drodzy, można oprzeć się o szafę, krzesło, ale nigdy o artykuł. Piszcie wypracowania korzystając z artykułów!
- Dziś stałam w w kolejce *za cebulą*. Za cebulą mógł się znajdować groszek lub szpinak, a my stoimy po c e b u l ę (p o c h l e b, c z o s n e k, s k a r p e t y)
- Po spacerze mama *wróciła z powrotem* do domu. Masło maślane czyli *pleonazm* – wyrażenia znaczące mniej więcej to samo, podobnie jak: *nadal pozostaje* czy *obaj bliźniacy* (*pleonasmós* – z greckiego: nadmiar). Jeśli ktoś wrócił do domu, to wiadomo, że odbył powrotną drogę.
- Zjadłem obiad *na stołówce*. Winszujemy sprawności – wejść na dach stołówki i jeszcze zjeść tam obiad?!! Na ogół obiady jada się w s t o ł ó w c e, a pracuje się w f a b r y c e, w b i u r z e, w z a k ł a d z i e, w k o p a l n i.
- *Na ile* są te jabłka? Czy *na 80 zł?*
  Poprawnie tylko: p o i l e? (i to nie tylko jabłka, ale wszystkie zakupy!).
- Lekarz przyjmuje codziennie, *za wyjątkiem środy*. Tylko: z w y j ą t k i e m ś r o d y (podobnie: lubi słodycze z w y j ą t k i e m tortów).
- Paczka została wysłana *na adres redakcji*. Wysyłajcie paczki i listy tylko *pod adresem!*

KROPKA.

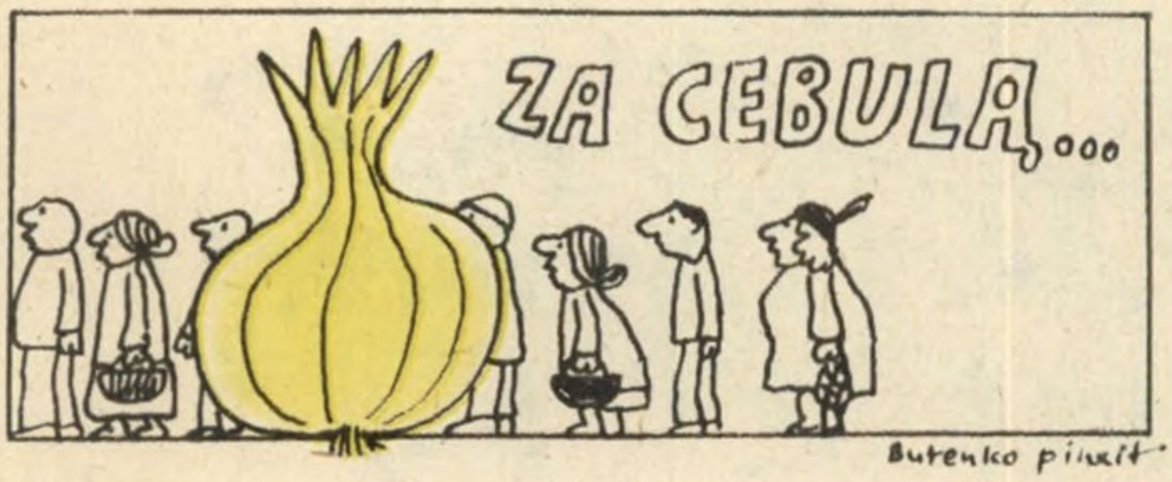

DIP PARTY

Co to takiego?
To rodzaj przyjęcia samoobsługowego z niewielką ilością naczyń i bez użycia sztućców. „*To dip*" – z jęz. angielskiego znaczy: „zanurzać, maczać". Podstawą dip-party są więc różne pikantne masy tzw. dipsy o konsystencji kremu, w których zanurza się krakersy, słone paluszki, kawałki chleba, pokrojony w kostkę ser, ogórek, rzodkiewkę. Goście obsługują się sami, a gospodyni po ich wyjściu nie pozostają stosy naczyń do zmywania. Trzeba tylko przygotować różne kremowe masy, które podajemy w małych kolorowych miseczkach, w szklanych lub porcelanowych (mogą być duże kompotierki).
Obok stawiamy w szklankach słone paluszki, kładziemy krakersy, pokrajane w wąskie paski kromki chleba, bułki, różne słone precelki, obwarzanki, macę, a także pokrajany w słupki żółty ser, w cienkie paseczki marchewka, ogórek, rzodkiewki, listki cykorii. Nadziewamy je na plastikowe szpikulce (do kupienia w sklepie gospodarstwa domowego) lub drewniane wykałaczki i zanurzamy w którejś z wybranych mas kremowych i... jemy.

Jak zrobić smaczne dipsy-kremy?
Oto kilka przepisów:

Dip – z rybek
15 dag twarogu, 5–6 łyżek mleka, 10 dag obranej ze skórki i ości wędzonej ryby lub rybki w oleju (z puszki), łyżeczka utartej cebuli, łyżka lub trochę więcej soku cytrynowego lub octu owocowego, łyżeczka keczupu, sól i pieprz do smaku. Twarożek z dodatkiem mleka ucieramy lub miksujemy na krem, stopniowo dodając pozostałe składniki.

Dip – orzechowy
Pół kostki masła (ok. 12 dag), czubata łyżka lub dwie zmielonych włoskich orzechów, łyżeczka soku cytrynowego. Masło (może być Vita) utrzeć dokładnie na krem, dodać orzechy, sok cytrynowy i doprawić solą do smaku.

Dip – pasztetowy
20 dag pasztetu (z puszki lub z garmażerni), łyżka musztardy, łyżka oliwy lub oleju, 4 łyżki gęstej, kwaśnej śmietany, 2–3 łyżki majonezu, do smaku sól i pieprz. Wszystkie składniki dokładnie ucieramy.

Rys. Teresa Łukowicz

Dip – serowy
15 dag tłustego białego sera, 6–7 łyżek mleka, 3 łyżki utartego żółtego sera (tylżycki, mazurski), 1 łyżeczka sparzonego wrzątkiem kminku, 1/3 łyżeczki sproszkowanej słodkiej papryki, sól, pieprz do smaku. Utrzeć ser z mlekiem, dodać przyprawy do smaku.

Dip – meksykański
25 dag białego mięsa, gotowanego (kurzego, bez skórki lub cielęciny), pół filiżanki majonezu, czubata łyżeczka sproszkowanej papryki, szczypta pieprzu lub przyprawy chili, pół drobniutko posiekanego ząbka czosnku, mały kieliszek soku cytrynowego. Wszystkie składniki zmiksować.

Dip – czosnkowy
15 dag twarożku, 5–6 łyżek mleka, 3–4 ząbki czosnku, sól. Do utartego twarożku dodać utarty czosnek, wymieszać razem i doprawić solą do smaku. Zamiast surowego czosnku można dać gotowany, wówczas ma łagodniejszy smak i... mniej pachnie.

Dip – na słodko
4 dojrzałe gruszki obrać, usunąć gniazdka nasienne, pokrajać w małe kawałki. Dodać buteleczkę jogurtu, 2 łyżki majonezu, 3 łyżki soku cytrynowego, 2 łyżki cukru pudru, jeśli ktoś ma 1/2 łyżeczki curry. Wszystko to dobrze zmiksować, aby nabrało konsystencji kremu (gruszki mogą być ze słoja, marynowane). (*gm*)

RUSZAJ GŁOWĄ!

- Rozluźnić mięśnie szyi, wykonać skłony głowy do przodu, do tyłu i na boki.
- Skłonić głowę do przodu i kołysać nią w obie strony.
- Stanąć prosto. Napiąć mięśnie szyi, prawą ręką oprzeć się o stół, lewą położyć na głowie. Naciskać mocno głową dłoń, policzyć do 10, zwrócić głowę w lewą stronę. To samo powtórzyć zmieniając ręce.
- Napiąć mięśnie karku, przycisnąć wewnętrzną stroną nadgarstka czoło, próbując opuścić nisko podbródek, wytrzymać kilka sekund.
- Napiąć mięśnie szyi i przez kilka sekund naciskać podbródek wewnętrzną stroną dłoni.
- Napiąć mięśnie szyi i przez kilka sekund napierać głową na przyłożoną do jej tyłu rozprostowaną dłoń. (*gm*)

JAK USUWAĆ PLAMY

Jak usunąć plamy z pleśni, które powstały na mojej białej bluzce. Zaznaczam, że próbowałam wielu sposobów... i nic. Wierzę, że coś wymyślicie.
Aldona

Spróbuj zwilżyć tampon denaturatem i nacieraj nim delikatnie zaplamione miejsca. Całą bluzkę spłucz kilkakrotnie ciepłą wodą.

Zażółciłam w czasie prasowania białą sukienkę bawełnianą. Co zrobić, żeby te paskudne „zacieki" zniknęły?
Kaśka

Zażółcone podczas prasowania lniane i bawełniane tkaniny okładamy pianą z białka ubitą ze sporą ilością soli kuchennej, pozostawiamy słoną pianę na 30 minut, a następnie tkaninę spłukujemy wodą. Zabieg powtarzamy kilka razy. (*gm*)

PATRYCJA I INNI

DZIURA W CAŁYM

– Co teraz robią wasi samorządowcy? – pytam kiedyś Patrycję. Wiem, że żywo ją to jeszcze zajmuje, choć już jako ósmoklasistka została zwolniona ze wszystkich funkcji społecznych.

– Co robią? – Patrycja zastanawia się przez chwilę. – Jakby to powiedzieć... Oni pokonują trudności!

– Trudności? Jakie?

– Właśnie siedzą teraz w harcówce i wymyślają, jakie.

– Nic z tego nie rozumiem. Mają więc te trudności czy nie?

– Ja też nie bardzo rozumiem. Nie mają, ale chcą mieć.

– Po co im to?

– Trudności? Żeby je pokonać. Bo to tak ładnie brzmi: „... Pokonaliśmy trudności i osiągnęliśmy postęp w..." – i tak dalej. Kto tak powie, zbiera oklaski.

Spojrzałem na Patrycję nieco uważniej. Kpi, czy mówi serio?

– Oczywiście, że mówię to ironicznie – rozwiała moje wątpliwości. – Ale jest w tym prawda. Oni chodzą, zbierają się, przesiadują, żeby znaleźć dziurę w całym.

– Wytłumacz mi to na jakimś przykładzie, bo mój sędziwy umysł nie ogarnia tego wszystkiego. To zanadto abstrakcyjne. – Tak pokornie poprosiłem Patrycję, żeby przystała na dalsze wyjaśnienia.

– Z chęcią panu to wyjaśnię, tym bardziej że właśnie jest przykład i w dodatku świeży. Parę dni temu byli u nas aktorzy z teatru objazdowego. Samorząd zgłosił się, że zadba o to, by wszystko było przygotowane. Widownia, jedna z klas jako garderoba, gorąca herbata dla artystów, kurtyna. Nawet były bilety z numerami miejsc. I sprzedaż programów. Jak w najprawdziwszym teatrze. Wszystko to załatwiła Gośka ze swoimi kumpelkami, czyli sekcja kulturalno-imprezowa. Wyszło to na wysoki połysk, poziom wprost światowy!

– Więc gdzie tu trudność?

– Znalazła się i to nie jedna. Bo innego zdania był Krzyś. Co pan myśli, jak postąpił?

– Nie mam pojęcia. Ale może się wynudził w tym teatrze?

– Może się i wynudził, nie wiem. Wiem tylko, bo sama to czytałam, że napisał do gazetki recenzję, w której pochwalił aktorów, że umieją grać na scenie, pochwalił Aleksandra Fredrę, że umie pisać komedie, pochwalił dyrektora, że zaprosił do szkoły teatr. Za to zganił organizację całej imprezy. Że był tłok przy wejściu, że było za mało szatniarek, że światła wygaszono 15 sekund za późno, że w końcu zabrakło programów, że w sali pod koniec było za gorąco, bo nikt nie zadbał o wentylację. I zakończył swój artykuł pytaniem: „Co na to samorząd?" Teraz wszyscy siedzą z tym artykułem przed nosami i radzą, jak tu „rozliczyć" Gośkę i jej spółkę. Co pan na to?

Przyznam się, że opowieść Patrycji mocno mnie zatrwożyła. Rozumiem (i jestem za tym), żeby w gazetkach pisywano to, co kto naprawdę myśli. Ale są przecież granice wytyczone zdrowym rozsądkiem. Jest też poczucie sprawiedliwości, które powinien mieć w wysokim stopniu każdy samorząd. Co to znaczy? I – co począć?

*

Kiedy znów spotkałem Patrycję, prawie tydzień po tej rozmowie, była wzburzona.

– Pamięta pan, jak opowiadałam o Gośce, samorządzie i tym teatrze?

– A jakże, pamiętam.

– No więc, Krzyś i te głupole z rady szkolnej tyle zwojowali, że Gośka z płaczem podała się do dymisji. A z nią cała sekcja.

– Zaraz, przecież ona wykonała wielką pracę, czy nikt tego nie zauważył, nie uznał?

– Co z tego? Niektórzy w tym nowym samorządzie nie lubią, jak coś jest dobre. Oni strasznie chcą, żeby było lepsze!

– No to w porządku.

– Nie, nie w porządku. Bo oni chcą ULEPSZAĆ ZA WSZELKĄ CENĘ, czyli kosztem innych. Lekceważą czyjeś sukcesy, wysiłki, ambicje. To oni chcą być tymi, którzy „pokonali trudności".

– To śmieszne. Więc dlaczego Gośka tak się tym przejęła? Wiem, że przecież ona ma spore poczucie humoru.

– Ale reaguje jak każdy człowiek. Narobiła się, nie liczyła na medale, jednak mogła spodziewać się zwykłego, prostego „dziękuję". A w zamian za to, co? Stanęła przed sądem Krzysia i jemu podobnych. W dodatku osądzono ją źle i krzywdząco.

– A co ty na to?

– Ja przecież już nie działam. Nie chcę, żeby myśleli, że im się wtrącam i się mądrzę. Próbowałam przez Artura coś im tam przesączyć, żeby się opamiętali, ruszyli rozumami. Ale czy oni mają rozumy?

– Chyba ich jednak krzywdzisz. Może jednak mają... Może chcą dobrze...

– Nie chcą „dobrze". Chcą „lepiej". Bez względu na wszystko. To jedno jest pewne, Gośka już nieprędko zabierze się do pracy społecznej.

– A to dlaczego?

– Bo będzie się z tym liczyć, że zawsze znajdzie się jakiś Krzyś, który poszuka dziury w całym. I wskaże „trudność", po to, żeby ktoś inny, ktoś odpowiedzialny (nie on!), postarał się ją pokonać. Potem zrobią taki zbiorowy sąd nad Bogu ducha winnym człowiekiem. To jest sposób na zniechęcanie.

– Spróbuj przekonać Gośkę, że nie wszyscy tak myślą i postępują. Niech się nie łamie.

– Ona się nie łamie. Ale jakby się trochę wycofywała. Za dużo miała zapału do pracy w samorządzie, żeby tak całkiem przestać, ale na razie straciła ochotę do podejmowania nowych akcji.

„Szkoda" – pomyślałem sobie.

SENIOR

Rys. Julian Bohdanowicz

WIECZORY Z SZYDEŁKIEM

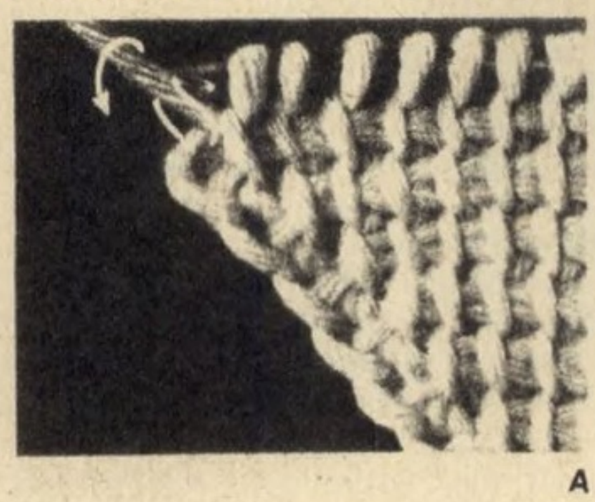

A

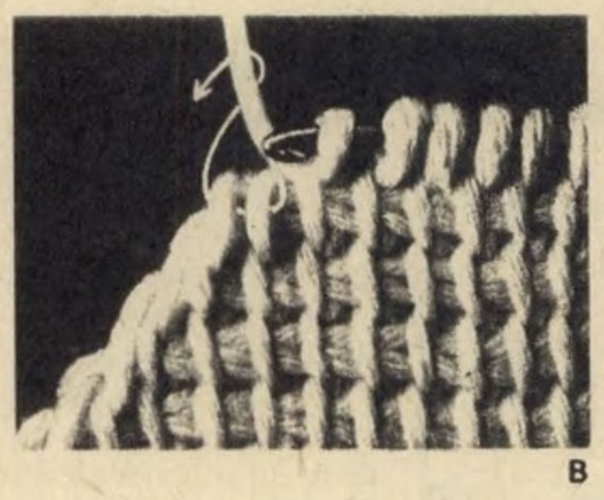

B

C

E

WIECZÓR IV

Dodawanie oczek. Jeśli chcemy poszerzyć dzianinę, dodajemy po jednym oczku. W tym celu wkłuwa się szydełko w oczko brzegowe poprzedniego rzędu, wyciąga pętelkę i przerabia dodatkowe oczko (rys. A).

Odejmowanie oczek. Chcąc zwężyć dzianinę – odejmujemy stopniowo po 1 oczku. Wystarczy w tym wypadku ominąć 1 oczko przed ostatnim oczkiem brzegowym, a ostatnie brzegowe dziać jak zwykle, z uwzględnieniem przyciągnięcia nitki, aby brzeg był równy (rys. B).

Obramowanie brzegu. Starannie wykończona dzianina jest ozdobą każdego wyrobu, nawet jeśli wykańczamy ją niezbyt wymyślnym wzorem. Oto przykład łatwego i efektywnego wykończenia dzianiny: na łańcuszku x 3 oczka ścisłe, 2 oczka łańcuszka, 2 oczka ominąć. Powtarzać od x do x. W następnym rzędzie x wkłuć szydełko w oczko łańcuszka do przedniego rzędu.

D

Zrobić oczko ścisłe (2 razy), 3 oczka łańcuszka, 3 oczka „przeskoczyć" (ominąć). Powtarzać od x do x (rys. C).

Ząbki. Robotę zaczyna się od łańcuszka w następujący sposób: na łańcuszku przerabiamy x 3 oczka ścisłe, 3 oczka „w powietrzu", to znaczy wykonane oddzielnie, bez wkłuwania w łańcuszek x. Powtarzać od x do x (rys. D).

Pasek. Ozdobny i niebanalny pasek do sukienek można wykonać zwykłym szydełkowym splotem ścisłym: z bawełny, jedwabiu, lnu, grubszego kordonku bawełnianego. Szydełko dostosowujemy do grubości nitki. Robótkę zacząć od 5 oczek łańcuszka. Przerabiać splot ścisły, dodając po 1 oczku, tak z jednej jak i z drugiej strony. Po uzyskaniu ustalonej szerokości paska przerabiać rząd za rzędem oczka ścisłe. Gdy długość paska będzie dostateczna – odejmować po 1 oczku tak z prawej jak i z lewej strony. Pozostałe, nie przerobione oczka zamknąć. Oddzielnie zrobić dwa wiązadełka podwójnym łańcuszkiem i przyszyć do paska. Dla ozdoby można jeszcze na pasku wyhaftować „kwiatki", zużywając resztki kolorowego kordonku lub lnu (rys. E)

HELENA DUTKIEWICZ

DAVID BOWIE

Okazuje się, że piosenką też można pomagać ludziom. Co kilka lat odbywają się muzyczne imprezy, z których dochód przeznacza się na cel humanitarny – pomoc dla najbardziej potrzebujących. Ostatnio taki koncert, nazwany przez organizatorów „Live Aid" (pomoc w obronie Ż y c i a), odbył się w lipcu ub. roku jednocześnie aż w dwóch miejscach: na Wembley w Londynie i na stadionie im. Kennedy'ego w Filadelfii. Trwał prawie 16 godzin, a wystąpiły w nim tak wielkie gwiazdy, jak: Madonna, Spandau Ballet, Tina Turner, Elton John, U2, Paul Young, Alison Moyet, Sade... Obejrzało go, dzięki transmisji telewizji satelitarnej, ponad 300 milionów widzów, a całkowity dochód wynoszący 50 mln funtów szterlingów przeznaczono na pomoc dla głodujących w Afryce.

W koncercie tym wystąpił również popularny piosenkarz angielski – David Bowie. Ta impreza i jej szlachetny cel wywarły na nim tak duże wrażenie, że postanowił jeszcze raz pomóc ofiarom głodu, tym razem tylko w duecie z solistą zespołu „The Rolling Stones" – Mickiem Jaggerem. W ciągu jednej nocy nakręcili na jednej z ulic portowych Londynu teledysk z własną wersją popularnej kiedyś piosenki: „Dancing in the street", a zysk z niego przekazali na konto pomocy dla Afryki.

David Bowie nigdy nie potrafił stać z boku. Wciąż szuka czegoś nowego. Zanim został piosenkarzem, pracował w kilku innych zawodach: był rzemieślnikiem, kawiarnianym muzykiem, mimem w teatrze.

Bowie – to tylko jego pseudonim, naprawdę nazywa się David Jones i ma 39 lat. Jego piosenkarska kariera zaczęła się raczej niefortunnie: 2 pierwsze single nie zostały nawet zauważone. Dopiero kiedy podpisał kontrakt z wytwórnią płytową DECCA, która potrafi lansować swoich wykonawców i przeznacza na ich reklamę olbrzymie kwoty, jego piosenki po raz pierwszy trafiły na listy przebojów.

David Bowie traktuje scenę tak jak życie – nie może być na niej miejsca na nudę. Śpiewa już od ponad 20 lat, ale co roku udaje mu się zaskoczyć publiczność nowymi, często ekstrawaganckimi pomysłami. Słynne są już jego wymyślne stroje, szokujący makijaż, zupełny „luz" podczas koncertów. Jego płyty, jak chociażby „Ziggy Sturdust", „Diamond Dogs" czy „Young Americans" zawsze zaskakiwały innością – były to często płyty-opowieści z własnym bohaterem, jego przygodami i przeżyciami.

Muzyka Davida Bowie'go nie przez wszystkich była rozumiana; niektórych zniechęcała swoją nowoczesnością czy prawie kosmicznym brzmieniem. David Bowie nie boi się śmieszności, krytycznych uwag, ale kilkakrotnie już wycofywał się z estrady, aby spróbować czegoś nowego. Przyciągany jednak magią sceny, zawsze na nią powracał.

Dzisiaj muzyka Davida Bowie'go jest łagodniejsza. Piosenki jednej z jego ostatnich płyt: „Let's dance" bardziej nadają się do tańca niż do filozoficznych dyskusji, tak jak to kiedyś bywało. A on sam interesuje się teraz raczej swoją karierą aktorską niż nagrywaniem nowych utworów. Wystąpił w kilku filmach, m: in. w pokazywanej i w naszych kinach „Zagadce nieśmiertelności", gdzie grał rolę starzejącego się z prędkością kilku lat na minutę młodzieńca – ofiarę pięknej Catherine Deneuve.

Zawsze jednak znajduje czas, by – tak jak właśnie teledyskiem „Dancing in the street" – pomóc tym, którzy nawet tej pomocy zupełnie się od niego nie spodziewają...

VIOLETTA LEWANDOWSKA

TRZY RAZY POMYŚL!!!

KRZYŻÓWKA BEZ IDOLA

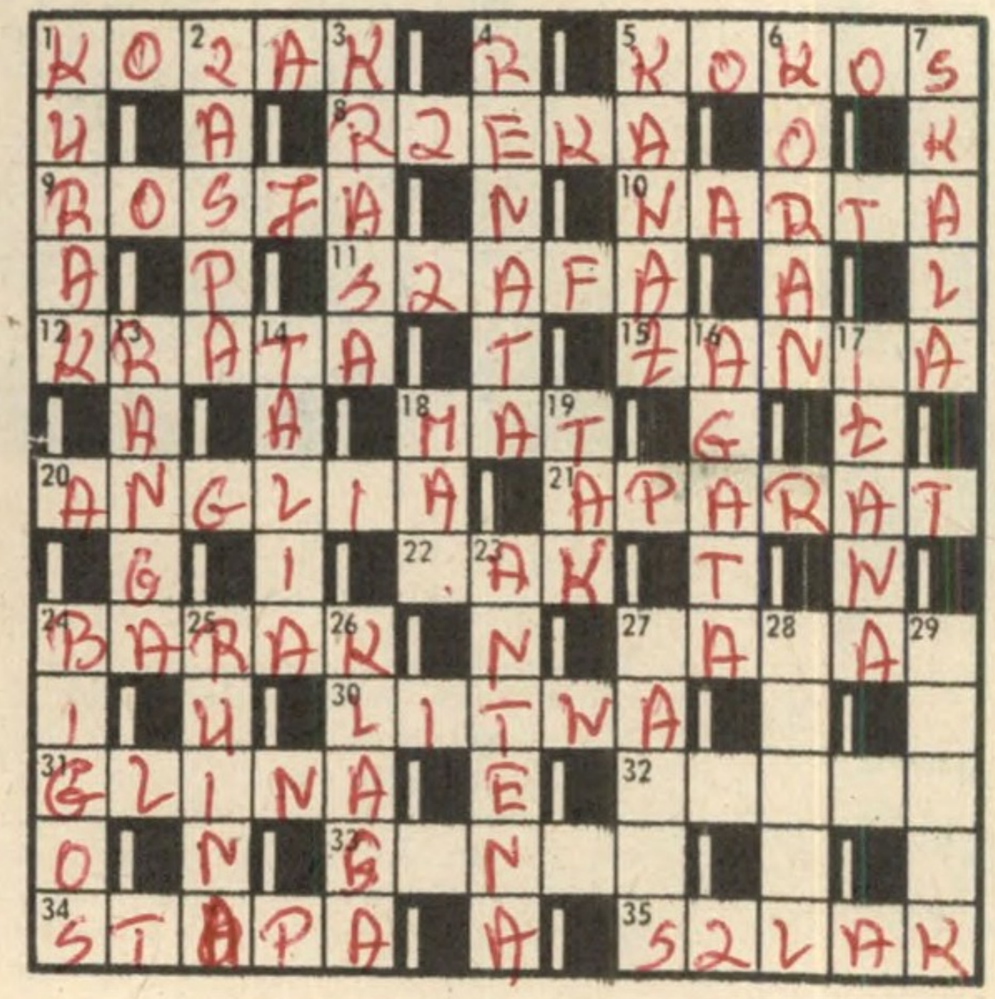

POZIOMO: 1) mieszkaniec dawnej Siczy Zaporoskiej (także rodzaj tańca albo gatunek grzyba kapeluszowego), 5) owocowy symbol dobrych interesów, 8) Wisła, 9) ojczyzna Mikołaja Gogola, 10) rzeka, która może być strażą, 11) pospolity mebel, 12) deseń widoczny na szkockich spódnicach, 15) samica jelenia albo daniela, 18) termin często używany w grze w szachy, 20) jeden z naszych przeciwników w grupie zbliżających się mistrzostw świata w piłce nożnej, 21) może być fotograficzny, 22) torba (albo sieć na ryby w kształcie worka), 24) prowizoryczny budynek, 27) olbrzymia jaszczurka pustynna zwana także „krokodylem pustyni", 30) jedna z republik radzieckich, 31) tworzywo, z którego wyczarowuje swoje produkty garncarz, 32) broń rycerska, która może być również drugą odbitką oryginału, 33) kulig, 34) dawna miara odległości, 35) wyznaczona trasa przejazdu, podróży.

PIONOWO: 1) kogut na dachu, 2) śniegowa zawalidroga, 3) piękno, 4) imię żeńskie, 5) duża część czegoś, która może być także dowcipem, 6) święta księga muzułmanów, 7) podziałka na mapie, 13) major albo pułkownik, 14) wcięcie w pasie, które może być również kompletem kart, 16) dziewczyna, która ponoć nogą zamiata, 17) miasto i ośrodek turystyczny nad jeziorem Jeziorak, 18) część stroju szlacheckiego, 19) potwierdzenie, 23) nie komin, a często sterczy na dachu, 24) staropolska, tradycyjna i używana do dziś potrawa, 25) całkowity upadek, zniszczenie, 26) oddział lekcyjny, 27) wolne miejsce (nie tylko w pracy), 28) moneta w Indiach, 29) olbrzymie jezioro w Afryce.

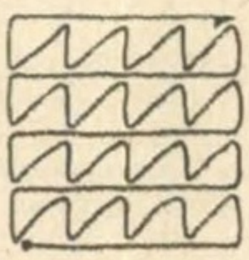

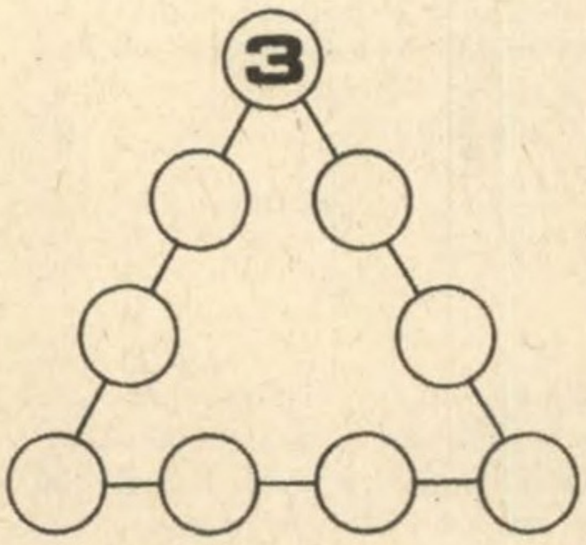

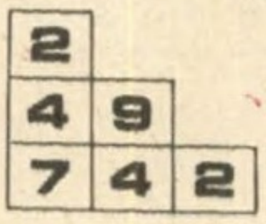

ZA PRAWIDŁOWE ROZWIĄZANIE zadań z nru 24 nagrody wylosowali: *Małgorzata Król* (Tarnów); *Monika Murawska* (Warszawa); *Katarzyna Lemańska* (Gryfice); *Jolanta Leżała* (Gryfino); *Adam Ratyna* (Tychy); *Monika Stasiak* (Zdzieszowice)

Figura magiczna. Prawidłowe rozmieszczenie wszystkich sześciu wartości w polach podanej figury pokazujemy na rysunku.

W poszukiwaniu trójkątów. Na rysunku można było odszukać aż 24 trójkąty (naturalnie różnej wielkości i niekoniecznie jednakowej barwy).

Za jednym zamachem. Przykładowy sposób przeprowadzenia linii podczas rysowania tejże figury – zgodnie z warunkami zadania – również pokazujemy na rysunku.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI z 23 numeru
– Kłamie, kto wiele obiecuje.

Nagrody za prawidłowe rozwiązanie wylosowali: *Hanna Burmistrzak* (Koło); *Zbigniew Dzięcioł* (Głuszyca); *Anna Gawron* (Bytom); *Agnieszka Kuźmińska* (Tomaszów Lub.); *Joanna Otkińska* (Biskupiec); *Dariusz Szewczuk* (Żwiartów); *Agnieszka Trela* (Żelazówka); *Grażyna Wappa* (Hajnówka); *Sylwia Wiatrowska* (Brzeg); *Wioletta Zasada* (Kłodzko).

FIGURA MAGICZNA ▲

Pola tej figury należy zapełnić cyframi (od 1 do 9, naturalnie każdą pisząc tylko raz), ale koniecznie w taki sposób, ażeby wartości z czterech pól wzdłuż każdego z boków trójkąta dawały sumę 17. Oczywiście cyfra 3 znajduje się już na swoim miejscu i przenosić jej gdzie indziej nie można.

◄ „CZARNA OWCA"

A oto łamigłówka dla czytelników spostrzegawczych. Popatrzcie zatem na nasz rysunek. Wiadomo, że wśród tych kilkunastu liter jedna z pewnych – logicznie uzasadnionych – względów nie pasuje do pozostałych. Kto odgadnie, która z liter jest owym intruzem?

Rozwiązania nadsyłajcie w ciągu 10 dni od ukazania się tego numeru pod adresem: Redakcja „Płomyka" – ul. Spasowskiego 4, 00-950 Warszawa, skr. poc. 380. Rozwiązania prosimy nadsyłać na kartach pocztowych lub z dopiskiem na kopercie, „Rozrywki z 4 nru".

NIE TA GŁOWA...

Angielski król Henryk VIII (XVI w.) słynący z bezwzględnych rządów namawiał jednego ze swych dworzan, aby zgodził się zostać jego ambasadorem we Francji, na dworze Franciszka I, z którym toczył nieustanne wojny.

– Nie bój się – tłumaczył – jeśli coś ci się stanie, zetną głowy dwunastu Francuzom.

– Obawiam się, Najjaśniejszy Panie – odparł kandydat na niebezpieczne stanowisko – że żadna z nich nie będzie pasowała do mojej szyi. (*wk*)

KOMBINEZOWE KOMBINACJE

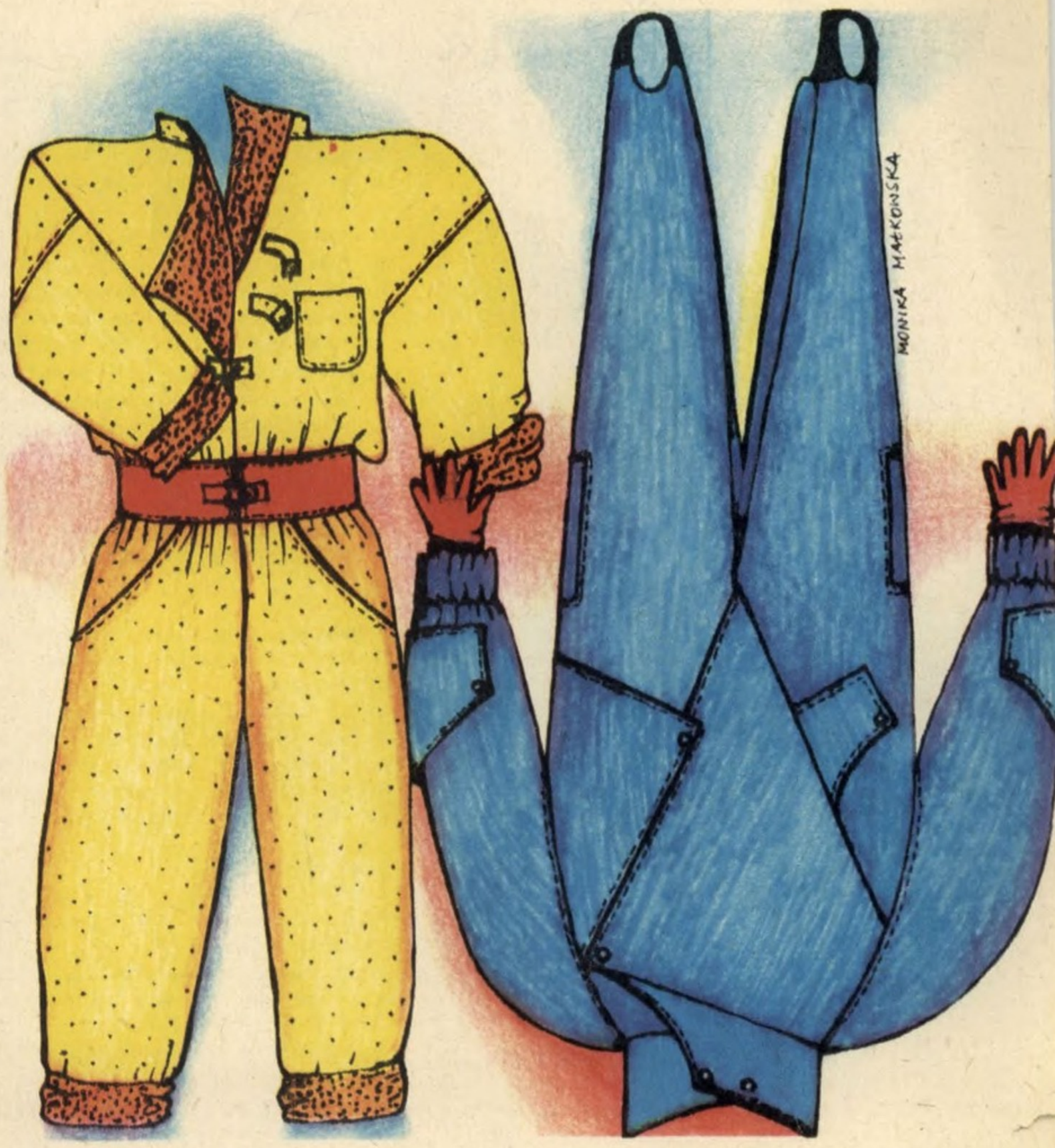

Zauważyliście pewnie, że moda bardzo chętnie zaprzecza sobie samej. Taki już ma charakter, że to, co wczoraj wielbiła, dziś odrzuca jako śmieszne, niewygodne, brzydkie. Czasem z ubiorów męskich robi damskie, ze strojów roboczych wieczorowe, z balowych kreacji – codzienny łaszek. Miesza i przestawia funkcje, style, formy, konwenanse.

Weźmy choćby taki przykład: kombinezony. Ich pierwsi projektanci traktowali je wyłącznie jako robocze odzienie, kładąc największy nacisk na funkcjonalność. Kombinezony nosili robotnicy, piloci, sportowcy. W związku z takim lub innym przeznaczeniem krój i surowiec, z jakiego wykonywano kombinezony dla ich wyspecjalizowanych użytkowników, ulegały zmianom.

I nagle odkryto, że mądrze zaprojektowany, o ściśle użytkowym przeznaczeniu kombinezon jest w swej prostej funkcjonalnej formie – piękny, a jednocześnie – wygodny. Kombinezony zaczęły przenikać do mody całkiem prywatnej. Najpierw zaczęli je przywdziewać mężczyźni nie z powodu wykonywania określonego zawodu, lecz po prostu dla wygody i szyku. Również panie poczuły się tak dobrze w kombinezonach, że zachęciło to projektantów do obmyślania coraz to nowych wzorów tych ongiś roboczych strojów.

Od mniej więcej dziesięciu lat kombinezony pojawiają się na firmamencie mody, przybierając nieco odmienne formy w zależności od aktualnie lansowanych tendencji w kroju. Zmienia się kształt spodni, fason góry, ale żeby kombinezon pozostał kombinezonem, nie może ulec zmianie zasada jego jednoczęściowości. I choć niby jest to ubiór przeznaczony dla płci obydwu, obecnie częściej bodaj zakładają go dziewczyny i kobiety, nie zaś – jak to początkowo bywało – panowie. Niemniej można uznać kombinezony za jedną z odmian odzieży biseksowej.

Wielbiciele i wielbicielki tych jednoczęściowych garniturów uważają za ważną zaletę szybkość, z jaką jest się ubranym od stóp do głów. Hop! – wskakujemy w nogawki, jednocześnie niemal naciągając rękawy na ręce, zapinamy się, przepasujemy i jesteśmy gotowi do wyjścia. Zaraz, zaraz, do jakiego wyjścia?

Tu należy dokonać podziału kombinezonów na dwa gatunki: codzienne i odświętne. Najzabawniejsze, że może to być ten sam obiekt, zmieniający swą funkcję poprzez zróżnicowanie dodatków i sposobów, w jakie się go nosi.

Oto mamy kombinację na całe ciało, wykonaną z cienkiego materiału, powiedzmy – typu płócienko, surówka jedwabna, popelina.

W chłodniejsze dni nosimy to-to na swetry, podkoszulki, bluzki i koszule. Przecież obecnie modne kombinezony mają takie zapasy w swej szerokości w stosunku do ubierającego się w nie człowieka, że bez trudu dają się wdziewać nawet na kilka wewnętrznych warstw. I jeszcze pozostaje możliwość nakładania warstw dalszych – już na kombinezon. Tak opatuleni, biegamy po mieście w dni robocze, wyjeżdżamy na narty, na żagle, idziemy na sanki.

Traktując ten sam kombinezon wyjściowo, zakładamy go bezpośrednio na ciało, najwyżej z maleńkim podkoszulkiem w środku. Zamiast trampek, sandałów, botków na płaskim obcasie, obuwamy nogi w szpilki czy lekkie pantofelki. W talii przepasujemy się szarfą lub wymyślnym paskiem. Z obuwiem i pasem mają współgrać inne dodatki – klipsy, kolczyki, bransoletki, apaszki, brosze. Oczywiście nie wszystko naraz. Przeprowadzamy rygorystyczną selekcję, pamiętając o zasadzie szlachetnego umiaru.

Ale zmiana dodatków to nie wszystko, co może przeobrazić wygląd kombinezonów. Robi się je często w takich fasonach, które umożliwiają nosicielowi stosowanie wielu wariantów.

Proponuję rozpatrzyć korzystając z rysunku dwie formy kombinezonowe, każdą w innym stylu, jednak każdą z paroma możliwościami przemian.

Pierwsza z propozycji to kombinezon niemal klasyczny, uszyty z dwóch cienkich tkanin. Mankiety przy nogawkach i rękawach mogą być wywinięte, ukazując w ten sposób odmienność spodniej materii. Ogromne klapy, dające szanse różnorodnego ich odchylania, także demonstrują zawartość środka. Ten fason wymaga szerokich, za luźnych spodni o przykrótkich nogawkach i przymarszczonej, wyrzuconej nad talią góry. Ramiona, jak obecnie u większości bluz, lubią być poszerzone poduszkami. Układ guzików lub napów, tudzież paseczków zapinanych na klamerki pozwala na rozmaite formowanie przodu kombinezonu i kołnierzowej stójki.

Drugi kombinezon jest bardziej awangardowy w fasonie. Przy rozbudowanej górze o wysokim, na szerokiej szyi ustawionym golfie, nogawki zwężają się do formatu spodni-narciarek; pod stopami przytrzymuje je gumowa patka. Kombinezon ten można nosić bez paska, co czyni noszącą go osobę mniej kształtną, bo gubi się wówczas rysunek bioder i talii. Za to sprytne rozmieszczenie napów pozwala dowolnie zmieniać kompozycję przodu tego kombinezonu, przeobrażając golf w ogromne klapy o asymetrycznym rozlokowaniu.

Jak widzicie, kombinezonowych kombinacji jest niemało, co jednak nie zapobiega pewnej monotonii, gdyż baza pozostaje niezmienna. Toteż entuzjastami mody kombinezonowej są raczej osobniczki nie cierpiące na manię częstego zmieniania ubraniowych koncepcji. Kombinezony – to przyodziewek odpowiedni dla takich, którzy przyzwyczajają się do noszonego ciucha i traktują go jak drugą skórę, niechętnie dając się z niej wyłuskać, by zmienić na nową. Takim to właśnie wiernym raz polubionemu strojowi, kombinezony hojnie świadczą swe różne praktyczne usługi.

ELŻBIETA MONIKA MAŁKOWSKA

PRZYJACIÓŁKA

POCZTA »PŁOMYKA«

Przyjemne z pożytecznym

Po przeczytaniu w nrze 21 waszej propozycji pt. „Gwiazdka dla Meksyku" postanowiliśmy zrealizować ten pomysł. W ciągu pięciu dni zorganizowaliśmy wyświetlanie bajek dla młodszych kolegów, bal meksykański z loterią fantową, a ponadto wszyscy chętni wpłacali dobrowolne sumy na ten cel. Akcja udała się! Zebraliśmy 3058 zł i pieniądze przekazaliśmy na pomoc dla ofiar trzęsienia ziemi w Meksyku. Bardzo prosimy o podobne inicjatywy. Chętnie będziemy je realizować.

Samorząd Uczniowski przy Szkole Podstawowej w Wilkowicach (woj. włocławskie)

Listów takich otrzymaliśmy więcej. Cieszymy się, że Samorządy wielu szkół potrafiły zbiórkę pieniędzy na ważny cel połączyć ze zorganizowaniem udanych imprez szkolnych. Jest to dobry przykład, jak łączyć przyjemne z pożytecznym.

Sejmik Pokoju

Od uczniów bydgoskich szkół podstawowych otrzymaliśmy pocztówkę z pozdrowieniami z Sejmiku Pokoju Bydgoskiej Młodzieży, zwołanego w związku z Międzynarodowym Rokiem Pokoju. Dziękujemy! Szkoda, że to tylko pocztówka, a nie reportaż z tej imprezy. Może za Waszym przykładem i w innych województwach można by zorganizować podobne sejmiki, pod warunkiem jednak, że program takiego sejmiku nie ograniczy się tylko do przemówień, lecz wzbogacony zostanie częścią artystyczną, konkursami itp.

Nasz dąb

Do napisania tego listu skłonił nas pewien dąb. Na pozór wydaje się, że jest to zwykłe drzewo, a to żywa pamiątka. Dąb ten codziennie rano wita uczniów naszej szkoły, przy bramie wejściowej. Jego życie rozpoczęło się dokładnie w dniu setnej rocznicy urodzin naszego wieszcza Adama Mickiewicza.

Chcemy, aby nasz dąb użyczał swego cienia nie tylko nam, ale również i tym, co zajmą nasze miejsca. Boimy się o to, by kiedyś ktoś nieodpowiedzialny, nie znający jego historii, nie wyciągnął chciwej ręki i nie zakończył jego życia. Oprócz naszego dębu rośnie modrzew, którego obwód wynosi 4,5 m. Jest również bardzo stary, ale nie znamy jego rodowodu. I jeszcze jedno drzewo – to limba, która rośnie na naszym cmentarzu. Jest piękna, duża i rozłożysta. Jej obwód wynosi 2,5 m, ale jej rodowodu również nie udało nam się ustalić, nawet z najstarszymi mieszkańcami wsi. Po prostu od wielu lat jest.

Kl. VIIIa z Borzęcina

Najlepszą ochroną dla pamiątkowego dębu jest Wasza troska. A żeby i inni wiedzieli, że nie jest to zwykły dąb – umieśćcie przy nim tabliczkę z informacją o jego związku z tradycją Mickiewiczowską. Napiszcie też, że jest to drzewo, którym opiekuje się młodzież (Koło Ligi Ochrony Przyrody) z waszej szkoły. Podobne napisy mogą się też znaleźć przy modrzewiu i limbie.

Płomykowa para!

Piszą do Was dawni czytelnicy, którzy mając naście lat czytywali „Płomyk". Właśnie dzięki Wam, a ściślej mówiąc dzięki „Giełdzie hobbistów" poznało się dwoje młodych ludzi. On i Ona. Wieńczysław i Dorota.

Gdy Dorota miała piętnaście lat ukazał się jej adres w „Płomyku". Interesowała ją historia i geografia. Brak przyjaciół zmusił ją do szukania ich poprzez kącik hobbistów. Niedługo czekała na listy. Dostała kilkanaście. Wybrała dwa – mnie i jeszcze kogoś. Po jakimś czasie pozostałem tylko ja. I jestem nadal. Teraz Dorota ma 19 lat, a ja 22 i od października jesteśmy mężem i żoną. Chcemy serdecznie Wam podziękować za to, że umożliwiliście dwojgu ludziom spotkanie się.

Dorota i Wieńczysław z Częstochowy

Cieszymy się, że przyczyniliśmy się do waszego poznania, spotkania i pokochania. Niech wasze dalsze wspólne życie będzie dowodem na to, że mieliśmy szczęśliwą rękę!

Miłość i statystyka

Przejrzałam niedawno „Płomyki" z ostatnich 2 lat. Zainteresowała mnie „Poczta". Obliczyłam, że na 130 listów, 44 dotyczą spraw miłości nastolatków. Było w tym 9 listów od „porzuconych", 12 od „nieszczęśliwie zakochanych". Piszą takie listy same dziewczyny, które chyba oglądają filmy dla dorosłych, a potem, wzorując się na bohaterach tkliwych romansów, po nocach wylewają łzy. Cóż, płacz nikomu nie zaszkodził, ale żeby nie jeść, nie spać, nie uczyć się... Ludzie! Nie przesadzajmy!

Co mnie jeszcze uderzyło w listach, to „miłość od pierwszego wejrzenia". Nie bądźcie naiwne! Zobaczyłyście ładnego chłopca w modnych ciuchach i uważacie, że to „ten jedyny". Skąd wiecie, jaki on jest? Może jest głupi, nudny i gburowaty...

A jeśli już zostaniecie „zdradzone" i „porzucone", to traktujcie ten „romans", jak przygodę, która się już skończyła. I nie dajcie po sobie poznać. Przeciwnie, zadbajcie o swój ubiór, wygląd i uśmiech. Trochę więcej godności!

„Kropka" z Łodzi

Mam dwóch idoli

Bardzo lubię czytać pocztę „Płomyka", ale często śmieszą mnie listy do idoli i listy „zrozpaczonych zakochanych".

Owszem i ja mam idola (właściwie dwóch, ponieważ jeden jest dla mnie wzorem charakteru, a drugi to idol muzyczny). Jeden to Limahl, którego cenię za jego muzykę, drugim moim idolem jest bohater powieści H. Sienkiewicza „Quo vadis" – Petroniusz.

Jestem także zakochana i to prawie od dwóch lat (zresztą chyba bez wzajemności). Ale nie użalam się, bo i z taką miłością dobrze mi się żyje. Ktoś pomyśli, że jestem idiotką, bo nie walczę o miłość i twierdzę, że dobrze mi tak żyć. Nie, ja nie zwariowałam. Jestem po prostu optymistką. Pogodną dziewczyną, marzącą o zdaniu do LO, a następnie o architekturze lub informatyce. Marzę również, by szczęście uśmiechnęło się do mnie w sprawach sercowych i by pewien piwnooki brunet wreszcie mnie zauważył.

Chciałabym, aby ten list przeczytały wszystkie „zrozpaczone" i „zakochane w idolu". Może doda on im trochę optymizmu.

„Maja – Optymistka"

Kometa Halley'a widziana z Głodówki

W grudniu i w styczniu 40-osobowa ekipa młodych miłośników astronomii śledziła lot komety Halley'a w zaimprowizowanym „polowym obserwatorium", w harcerskim ośrodku na Głodówce koło Bukowiny Tatrzańskiej. Obserwacjami kierowali pracownicy naukowi planetariów w Chorzowie i w Olsztynie. Nocne czuwanie przyniosły m.in. plon w postaci zdjęć. Jedno z nich, którego ekspozycja trwała 10 min. reprodukujemy.

(Fot. Marek Szczepański)

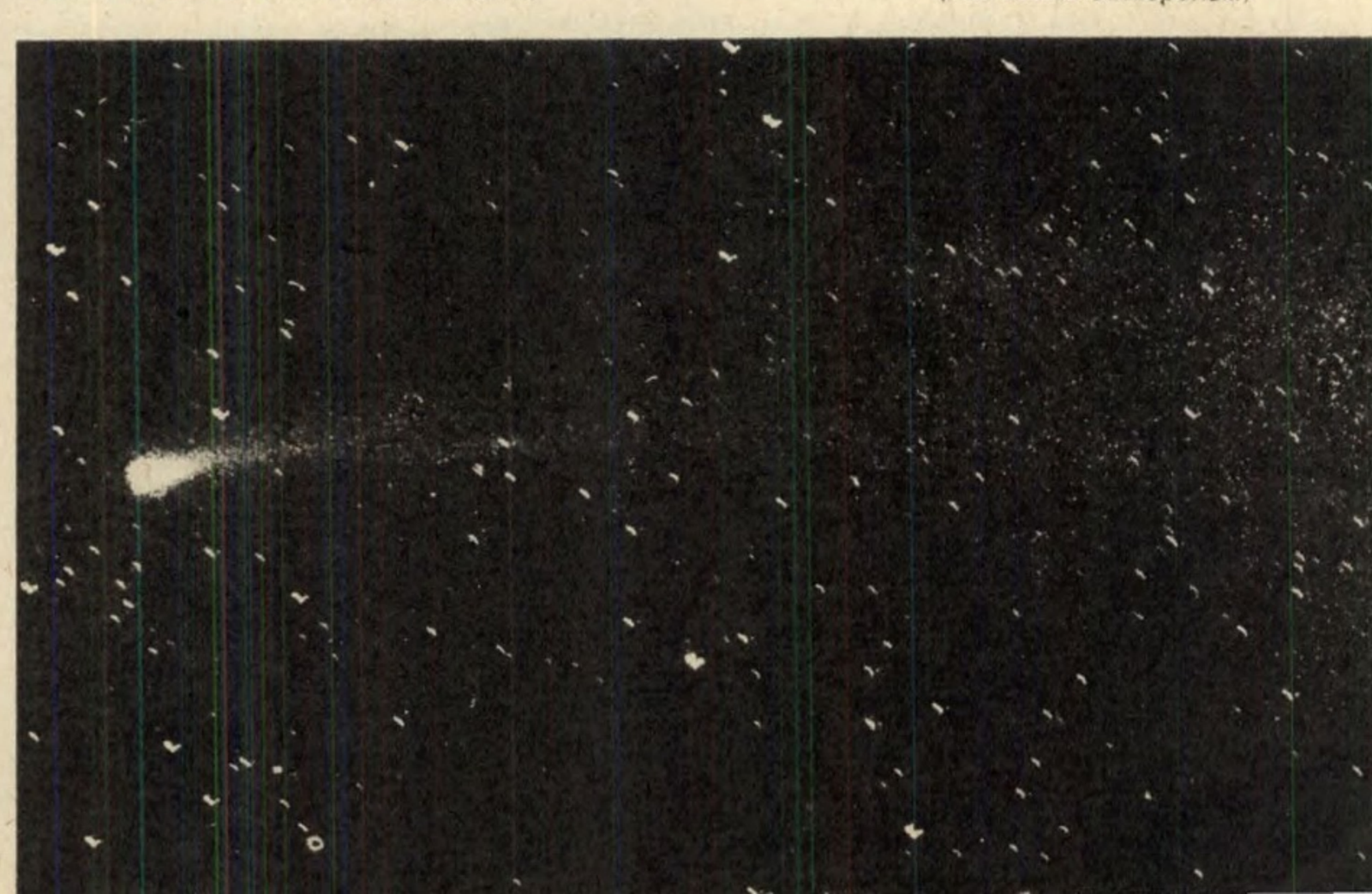

1. *Agnieszka Arczyńska*, lat 14, sport, zwierzęta, rock – Krzyżanowo, 09-414 Brudzeń
2. *Renata Badyna*, lat 13, gitara, plastyka, rock – Markowice, 88-320 Strzelno, skr. poczt. 113
3. *Bogusława Bednarek*, lat 15, medycyna, sport, muzyka – ul. Karniszewska 143, 95-200 Pabianice
4. *Tomasz Bernaszuk*, lat 14, filmy (Lucasa), książki przygodowe, krzyżówki – ul. Strażacka 12/5, 21-050 Piaski
5. *Anna Błachowicz*, lat 14, matematyka, fizyka, „Republika" – ul. Kos. Gdyńskich 63/10, 66-400 Gorzów Wlkp.
6. *Bożena Bondaruk*, lat 12, matematyka, geografia, sport – Krasnowieś 24, 17-112 Nurzec
7. *Tomasz Borczyk*, lat 14, elektronika, samochody, sport – ul. Waryńskiego 39/3, 58-260 Bielawa
8. *Jolanta Brudko*, lat 14, przepisy kulinarne, plakaty, pocztówki – plac Kościelny 5, 07-140 Sadowne
9. *Dorota Brylska*, lat 14, książki, znaczki – ul. Urzędnicza 29/3, 30-051 Kraków
10. *Bogusława Chojnicka*, lat 15, plakaty, piosenki, widokówki – ul. Łęczyska 36, 07-400 Ostrołęka
11. *Katarzyna Czepielewska*, lat 15, widokówki, piosenkarze (fot.) – ul. Sobieskiego 27/1, 88-140 Gniewkowo
12. *Mariola Dąbrowska*, lat 13, filatelistyka, fantastyka – ul. Okrężna 8, 66-234 Boczów
13. *Marek Draba*, lat 13, znaczki, samochody, plakaty, widokówki – 12-112 Lesiny W.
14. *Krzysztof Duda*, lat 14, wędkarstwo, Depeche Mode, Kombi – ul. Główna 10, Rusko, 55-320 Malczyce
15. *Agnieszka Dziekanowska*, lat 13, biologia, znaczki, pocztówki – ul. Łąkowa 20, Żabieniec, 05-500 Piaseczno
16. *Alina Garczorz*, lat 14, jęz. rosyjski, książki, zwierzęta – ul. Janika 20/3, 41-800 Zabrze
17. *Barbara Gieniek*, lat 14, tarcze szkolne, kaktusy, filumenistyka – ul. Gomułki 5/2, 38-200 Jasło
18. *Małgorzata Golec*, lat 13, filatelistyka, jęz. francuski, plastyka – 37-109 Brzoza Stadnicka 101/A
19. *Emilia Gościńczyk*, lat 15, film, moda, walki Wschodu – Wola Książęca 68, 63-220 Kotlin
20. *Renata Granowska*, lat 13, książki, muzyka, pocztówki – ul. Żeromskiego 2/24, 24-320 Poniatowa
21. *Marzena Grzywacz*, lat 12, muzyka, pocztówki (kwiaty) – ul. Nadbrzeżna 26/38, 57-550 Stronie Śl.
22. *Lilianna Guderska*, lat 12, plastyka, przepisy kulinarne, rock – ul. Dąbrowskiego 106/36, 93-202 Łódź
23. *Agnieszka Hajdas*, lat 14, matematyka, jęz. angielski, filmy – ul. Dunikowskiego 4, 48-300 Nysa
24. *Beata Iwanow*, lat 14, poezja, balet, aerobic – ul. Dzierżyńskiego 23/17, 17-100 Bielsk Podlaski
25. *Kinga Janczak*, lat 12, kalendarze (konie), moda, plakaty – ul. Niedźwiedzicka 22, 59-222 Miłkowice
26. *Anna Janek*, lat 15, sport, plakaty, moda, piosenki – Wólka Gołębska 70, 24-101 Gołąb
27. *Waldemar Jarkot*, lat 14, biologia (węże), geografia, fotografika – ul. Wieczysta 143/10, 50-550 Wrocław
28. *Mirosława Kaleta*, lat 15, widokówki, muzyka, plakaty – ul. Dzierżyńskiego 27, 63-400 Ostrów Wlkp.
29. *Iwona Kamińska*, lat 14, filatelistyka, pocztówki (flora, fauna), rock – 09-414 Brudzeń
30. *Agnieszka Kamińska*, lat 14, pocztówki, nalepki, przepisy kulinarne – Jarczówek 52, 21-422 Stanin
31. *Renata Kapuścińska*, lat 13, filatelistyka, pocztówki (psy, koty), wróżby – Al. Bieruta 16/9b, 97-300 Piotrków Tryb.
32. *Agnieszka Kaszubek*, lat 14, znaczki, pocztówki, plakaty – ul. Słoneczna 17, Żabieniec, 05-500 Piaseczno
33. *Małgorzata Kilar*, lat 13, znaczki, pocztówki, papeteria – ul. Pol. Skrzydeł 2/116, 03-982 Warszawa
34. *Katarzyna Kłopotek*, lat 14, plakaty, znaczki, kalkomania – ul. Szkolna 27, 86-152 Łążek
35. *Anna Kobuszewska*, lat 13, plakaty, piosenki, rock – Markowice 29/14, 88-320 Strzelno
36. *Ewa Kowalczyk*, lat 14, historia, rock, plakaty – ul. Długa 28, 97-200 Tomaszów Maz.
37. *Dorota Kożuch*, lat 13, widokówki, taniec, plakaty, wróżby – ul. Rabsztyńska 29a, 32-310 Klucze
38. *Małgorzata Krusieńska*, lat 15, jęz. niemiecki, psychozabawy, taniec – ul. Gwarków 56/7, 59-300 Lubin
39. *Arleta Kubik*, lat 12, matematyka, plakaty, widokówki – Zakrzewo 8, 64-231 Belęcin
40. *Piotr Kuźmiński*, lat 15, rock (plakaty, kasety, koncerty) – ul. Suwalska 4/45, 03-252 Warszawa
41. *Małgorzata Kwaśnica*, lat 12, geografia, komiksy, rock – ul. Waryńskiego 17/2, 47-400 Racibórz
42. *Katarzyna Lato*, lat 12, książki przygodowe, taniec, plakaty – ul. Śliwkowa 10, 20-141 Lublin
43. *Kazimiera Leśniewska*, lat 15, języki obce, turystyka, muzyka – ul. Świerczewskiego 5, 67-320 Małomice
44. *Hanna Lewandowska*, lat 15, muzyka (soliści, zespoły) – Słopanowo 1, 64-520 Obrzycko
45. *Dorota Lewandowska*, lat 13, filatelistyka, pocztówki, rock – Rochny, 09-414 Brudzeń
46. *Edyta Lewandowska*, lat 14, matematyka, wf, znaczki, rock – Bądkowo-Rochny, 09-414 Brudzeń
47. *Ewa Ligeska*, lat 15, medycyna, znaczki (flora), pocztówki – Krzywa 29, 39-120 Sędziszów
48. *Iwona Linek*, lat 15, archeologia, książki, moda, rock – ul. Arkońska 7/4, 71-470 Szczecin
49. *Dariusz Lisowski*, lat 15, muzyka (pop), płyty, plakaty – ul. Krajewska 34/7, 65-001 Zielona Góra
50. *Aldona Maciaszek*, lat 15, książki, muzyka, plakaty, piosenki – Szepowron 84, 26-625 Wolanów
51. *Monika Małek*, lat 12, zwierzęta, rock, WHAM – 32-061 Rybna 414
52. *Agnieszka Mańkowska*, lat 15, książki, horoskopy, zwierzęta – ul. Rakowicza 1b/26, 87-100 Toruń
53. *Dorota Matysik*, lat 15, medycyna, filatelistyka, plakaty – Wielka Wieś 44, 64-225 Kopanica
54. *Paweł Mazur*, lat 14, znaczki, plakaty, widokówki – ul. Olchowa 5, Celiny, 42-624 Ozarowice
55. *Agnieszka Metyk*, lat 14, książki przygodowe, plakaty, rock – ul. Odlewnicza 12/28, 20-219 Lublin
56. *Krystyna Milewicz*, lat 12, pocztówki, naklejki – LSRR, 243025 pta Kowalczuki, Jaunimo 15
57. *Monika Milewska*, lat 14, książki, plakaty, humor, sport – ul. Woj. Polskiego 20/48, 34-400 Nowy Targ
58. *Krzysztof Milian*, lat 15, filatelistyka, plakaty, rock – ul. Chabrów 135/3, 45-221 Opole
59. *Małgorzata Milko*, lat 14, filatelistyka, pocztówki (konie), rock – ul. Tropińska 16, 17-220 Białowieża
60. *Renata Mroczko*, lat 13, jęz. angielski, humor, rock, plakaty – ul. Słowackiego 37/37, 37-600 Lubaczów
61. *Iwona Murawska*, lat 15, książki, piosenki, muzyka, plakaty – Wacławów 7a, 26-625 Wolanów
62. *Jolanta Nagrabska*, lat 15, książki, turystyka, rock – Probostwo 8, 07-210 Długosiodło
63. *Beata Niekurzak*, lat 13, kalendarze (konie), plakaty piosenkarzy – ul. Niedźwiedzicka 24, 59-222 Miłkowice
64. *Edyta Niemczynowska*, lat 15, książki, zwierzęta, wróżby – ul. Budzyszyńska 7/11, 59-300 Lubin
65. *Beata Nowaczyk*, lat 14, jęz. rosyjski, kalendarzyki, rock – 63-112 Brodnica Śremska 55
66. *Ewa Nowak*, lat 14, rock, plakaty, kasety – Stobiecko Szl. 136, 97-561 Ładzice
67. *Agnieszka Nowak*, lat 13, znaczki, krzyżówki, wiersze własne – Sędzinek, 87-706 Sędzin
68. *Iwona Olejniczak*, lat 15, medycyna, łyżwiarstwo, rock – ul. Fabryczna 5/84, 24-200 Bełżyce
69. *Ewa Oleś*, lat 13, plakaty, film, pocztówki – ul. Wojtowska 57a, 44-100 Gliwice
70. *Agnieszka Omirska*, lat 15, jęz. francuski, moda – ul. Wysoka 8a/35, Os. Piastów
71. *Edyta Orzechowska*, lat 12, biologia, geografia, haft – ul. Moniuszki 13/18, 77-400 Złotów
72. *Iwona Ozga*, lat 13, pocztówki (kwiaty), rock – Os. Przodowników Pracy 3a/13, 58-160 Świebodzice
73. *Marek Parys*, lat 12, filatelistyka, modelarstwo, piłka nożna – ul. Niedurnego 38c/27, 41-709 Ruda Śl. 9
74. *Małgorzata Piotrowska*, lat 13, muszle, tarcze szkolne, rock – Markowice, 98-320 Strzelno
75. *Grażyna Plewaka*, lat 13, historia, filatelistyka, rock – ul. Otolińska 15/37, 09-402 Płock
76. *Anna Podsiad*, lat 13, przepisy kulinarne, plakaty, widokówki – ul. Goworowska 4/20, 07-400 Ostrołęka
77. *Agnieszka Przytulska*, lat 14, kwiaty, haft, widokówki – ul. Pachołęca 2a, 04-421 Warszawa
78. *Anna Rak*, lat 14, długopisy, spinki do włosów, pocztówki – Kawęczyn 164, 39-120 Sędziszów
79. *Grzegorz Richart*, lat 14, jęz. niemiecki, karate, zwierzęta – ul. Kołobrzeska 23a/2, 80-390 Gdańsk Oliwa
80. *Beata Rau*, lat 14, paleontologia, kulturystyka, piłkarze – ul. Kopernika 20, 13-300 Nowe Miasto
81. *Katarzyna Sadecka*, lat 13, filatelistyka, widokówki, rock – Markowice, 88-320 Strzelno
82. *Dorota Sikora*, lat 14, widokówki, rock (plakaty zespołów) – Tomice 335, 34-100 Wadowice
83. *Monika Sirko*, lat 13, jęz. angielski, aktorzy, rock – ul. Grunwaldzka 121/40, 80-244 Gdańsk-Wrzeszcz
84. *Renata Siwek*, lat 12, filatelistyka, pocztówki, moda, rock – Zadybie Nowe, 08-454 Kłoczew
85. *Adriana Skrzypecka*, lat 13, fizyka, historia (Francja, Anglia, Polska) – ul. Woj. Polskiego 5/7 m. 78, Opole Śląskie
86. *Elżbieta Sobieska*, lat 14, przepisy kulinarne, moda, rock – Murawskie Miazgi, 18-325 Boguty
87. *Iwona Stankiewicz*, lat 15, plakaty, nalepki, rock – Os. Warzyń II 15c/2, 56-120 Brzeg Dolny
88. *Wioletta Stankiewicz*, lat 15, jęz. obce, turystyka, muzyka – ul. Świerczewskiego 1, 67-320 Małomice
89. *Aneta Stobiecka*, lat 15, filatelistyka, widokówki, plakaty, rock – ul. Opoczyńska 87, 97-330 Sulejów
90. *Renata Stopczyk*, lat 12, widokówki, plakaty, piosenki – ul. Kamienna 75/83 m. 73, 95-100 Zgierz
91. *Anna Szarmach*, lat 13, książki, moda, humor, pocztówki – ul. Sienkiewicza 56G/15, 82-200 Malbork
92. *Małgorzata Szczygieł*, lat 15, medycyna, rock (plakaty) – ul. Sienkiewicza 18/7, 58-575 Bolków
93. *Małgorzata Szuszkiewicz*, lat 13, jęz. angielski, kalendarzyki, Indianie – ul. Wielkiej Niedźwiedzicy 13/13, 59-220 Legnica
94. *Dorota Wepa*, lat 15, szachy, jęz. niemiecki, plakaty – ul. Długa 33/15, 58-309 Wałbrzych
95. *Monika Wiśniewska*, lat 15, archeologia, geografia, religioznawstwo – ul. Pańska 7/99, 00-124 Warszawa
96. *Magdalena Wyłupek*, lat 12, ciekawostki przyrodnicze, znaczki, pocztówki – ul. Górnośląska 3/96, 00-443 Warszawa
97. *Sylwia Zabar*, lat 14, biologia, jęz. angielski, sport – ul. Broniwoja 8/61, 02-655 Warszawa
98. *Katarzyna Zając*, lat 15, historia starożytna, fotografika, horror – ul. Przytulna 9, 07-415 Olszewo-Borki
99. *Zbigniew Zieliński*, lat 14, geografia, widokówki, sport – ul. Jatutów 37, 22-400 Zamość
100. *Karina Żmuda*, lat 14, chemia, biologia, plakaty – ul. Żurawia 22, 42-530 Dąbrowa Górnicza

WARUNKI PRENUMERATY

kwartalnie	120 zł
półrocznie	240 zł
rocznie	480 zł

- **Dla prenumerat indywidualnych**:
  - osoby zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;
  - osoby zamieszkałe w miastach, w których znajdują się Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora; wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietu wpłaty";
- **Dla instytucji i zakładów pracy**:
  - instytucje i zakłady pracy w miastach, w których znajdują się Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w tych oddziałach;
  - instytucje i zakłady pracy w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" i na terenach wiejskich, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli.
- Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch". Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11; prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.
- **Termin przyjmowania prenumeraty na rok 1986**, na III kwartał i na II półrocze – do 28 V; na IV kwartał – do 30.VIII

Dwutygodnik dla młodzieży
25 lutego 1986 r.

Skład oraz druk wykonały Zakł. Graf. „Dom Słowa Polskiego" w Warszawie.

Nakład 300 000 egz.
Zam. 400/CD. P-59

ADRES REDAKCJI
00-950 Warszawa
ul. Spasowskiego 4
skrytka pocztowa 380

TELEFONY
26-24-31 w. 82 lub 80
26-26-31 (redaktor naczelny)

INDEKS 36876

CENA
20 zł

DAVID BOWIE